

SAD NAD TANTALUSEM



Wiktor Saparin

Sąd nad Tantalusem

Wiktor Saporin

Przełożyli Tadeusz Gosk, Alina Śniechowska

Ilustrował I. Stanny

Opowiadania wybrane z cyklu Światy Południa

SPIS TREŚCI

Sąd nad Tantalusem.

Ostatni dorożkarz.

Niebiańska kula.

W pogoni za wężem morskim.

I

Barcz leciał nad Oceanem Spokojnym, gdy samolot jego nagle zakomunikował: „Rozpocznym lądowanie przymusowe”.

Ponieważ włączyły się urządzenia przeciwpożarowe, zrozumiał, że gdzieś się coś pali. W iluminatorze dostrzegł, jak lewa gaśnica pokładowa wyrzuciła strumień w kierunku dzioba. Buchnął stamtąd gęsty dym, a potem ukazał się język płomienia. Gaśnica stłumiła płomień i dym zaczął znów pełznąć tłustymi kłębami. Minęło kilka chwil, a płomień znów bystrą strugą przeciągnął wzdłuż pokładu.

Barcz, bacznie rozglądając się dokoła, nie dostrzegł nic oprócz gładzi oceanu. Ale samolot widocznie odnalazł na mapie jakiś skrawek lądu i dążył ku niemu ostatkiem swoich mechanicznych sił.

Wreszcie i Barcz dostrzegł to, co wyszukał samolot: wysepkę wulkaniczną, z góry zdumiewająco podobną do jednej z tych plamek, jakie pokrywały liście trzciny cukrowej zarażonej tantalusem. Z bliska wysepka okazała się zwałem skał niedbale rzuconych wśród oceanu.

Dym buchał już takimi kłębami, że Barcz chwilaми nic nie widział. Zorientował się tylko, że samolot dwa razy przeleciał nad wykrytą przez siebie wysepką. Ale wylądować na tych sterczących jak kolce skałach nie mógł nawet statek powietrzny „pogotowia ratunkowego”.

Kiedy samolot robił trzecie okrążenie, Barcz nagle poczuł, że podłoga pod nim odpada i że on razem z fotelem, na którym siedział, leci w dół. Uwieszony pod rozpiętym spadochronem, widział, jak jego aparat, ciągnąc za sobą smugę dymu, opadał coraz niżej i niżej, zbliżając się do powierzchni oceanu.

Wszystko, co się potem zdarzyło, było jakby złym snem. Skały nagle groźnie urosły i zdawało się, że czyhają na niego swoimi okrutnymi paszczami. Boleśnie zawadził kolanami o ostry występ i prawie jednocześnie uderzył klatką piersiową o pionową ścianę. Od pasa oderwała się klamra i Barcz wypadł z fotela — na szczęście z niewielkiej wysokości.

Fotel, umocowany na wiązaniach, poleciał dalej i zniknął — razem z zapasem żywności i lekami mieszczącymi się w hermetycznym schowku pod siedzeniem.

Minęło kilka minut. Pierwszym, prawie machinalnym ruchem Barcz wy dostał z kieszeni na piersi blok uniwersalny. Elastyczne tworzywo pokrywy ocalało, ale wewnątrz coś pękło. Został więc pozbawiony tego, co było najważniejsze — kontaktu ze światem.

Zacisnąwszy zęby, powłócząc skaleczoną nogą, Barcz wpłynął po pochyłym zboczach na skalisty grzbiet, żeby się rozejrzeć.

Dookoła rozpościerał się ocean, siny i jak gdyby o bezdennej głębi.

Fale obojętnie nadbiegały zza horyzontu, dotykały skał tworzących wysepkę, niby zdumione jej istnieniem.

Ta nieznaną wysepka, drobniutki pieg na obliczu oceanu, prawdopodobnie nie miała nawet żadnej nazwy.

Barcz odwrócił się na plecy. Leżąc na kamieniach i patrząc na skrawek nieba, jakby powygryzany dokoła sylwetami skał, zaczął sobie przypominać, jak się to wszystko stało.

Przed oczami jego pamięci przede wszystkim ukazała się postać Svensena, nadzorcy więzienia...

II

...Więzienie wyglądało właśnie tak, jak je sobie Barcz wyobrażał na podstawie licznych zdjęć: ze czterdzieści budynków, całe miasteczko naukowe, bez żadnego krzaczka ani trawki na gładkiej jezdni ze sztucznego tworzywa, wszystko osłonięte ogromnym przezroczystym kloszem.

— Uciec stąd nie można — z przekonaniem zapewniał Svensen. Lekko zapadnięte oczy i głębokie zmarszczki przy ustach nadawały mu wygląd proroka.

— Tu można tylko wejść. Jak do piekła Dantego. Z powrotem? Ha! W tej ścianie nie znajdzie pan nawet spojenia.

— A szpary?

Svensen uderzył pięścią w przezroczystą ścianę. Pięść odbiła się jak od ściślej gumy.

— Ściana jest wielowarstwowa. Wszystkie warstwy są samosklejające się. Masa giętka, niepękająca... Nawet kula jej nie przebije.

- Ale wejście przecież jest! — nalegał Barcz.
- Chce pan powiedzieć, że skoro jest wejście, to jest i wyjście? Człowiek może wyjść, nie mikrob — nie.
- Ale mimo wszystko jeden wyszedł?



— Wśród naszych uwięzionych nie ma tego, którego pan szuka.

— Chętnie wierzę. Nie spadł jednak z Marsa ani też z Wenus!

— I to jest zupełnie wykluczone. Rakiety są odkażane jak najdokładniej. Dogląda tego Kontrola Bezpieczeństwa.

— Są jednak bakterie, których się specjalnie dostarcza z innych planet. Czy one także przekazywane są do was?

— W specjalnych naczyniach i bezpośrednio do oddzielnego gmachu. O, widzi pan, tamten dalszy, jak gdyby we mgle. Tam są jeszcze dwa takie klosze jak ten. Dodatkowa izolacja.

— Czy nie przypuszcza pan, że na Księżycu nie wszystkie bakterie zostały zniszczone? — zapytał Barcz. — A przecież rakiety z Księżyca nie są odkażane.

— Niestety, jest to wykluczone — ostro powiedział Svensen. — I pan dobrze wie, że na Księżycu były tylko bakterie beztlenowe. Pomyśleć tylko — zawołał, ruchem proroka wyrzucając ręce do góry — zniszczyć wszystkie mikroorganizmy na całej planecie! To była tragiczna omyłka! Po prostu trudno jest uwierzyć, że taki sam los zagrażał Ziemi. Pamięta pan, jak zaczęto tępić wszystkie wirusy grypy, bakterie wywołujące dur powrotny, dyzenterię, cholerę? Niektóre zniszczono kompletnie. Teraz szuka się ich na Wenus... Chodźmy — dorzucił innym już tonem.

— A gdzie jest wyjście?

— Przed panem.

Przyjrząwszy się, Barcz dostrzegł na widniejącej przed nim części ściany złącze cienkie jak włos i prawie zupełnie niewidoczne zawiasy.

— Jest to jedyne miejsce na kuli ziemskiej — zaznaczył Svensen — gdzie istnieją jeszcze strażnicy. Oczywiście, nikomu nie przyjdzie na myśl wejść tu bez pytania. Ale Kontrola Bezpieczeństwa nalega... Proszę otworzyć! — zawołał głośno.

Część ściany odsunęła się. Otworło się przejście tak wąskie, że musieli wchodzić pojedynczo. Wyciągnąwszy rękę w bok, Barcz poczuł, że dotyka czegoś twardego. Znajdowali się nie bezpośrednio pod kłosem, jak przypuszczał, lecz w korytarzu,

— Dezynfekcja już się zaczęła — powiedział Svensen, wskazując na podłogę usianą pęcherzykami, z których każdy miał drobniutkie otworki. — Przecież najwięcej bakterii przynosi się na nogach.

— To i wejść im nie wolno?!

— Oczywiście. Nielegalnie — to miałem na myśli. I pana tantalus nie mógłby przedostać się do nas, nawet gdyby chciał. Pan rozumie teraz, dlaczego tak stanowczo oświadczyłem, że u nas jego nie ma.

— Ale chyba nie po to, abym się o tym przekonał, zaprosił mnie pan tutaj?

Svensen nie odpowiedział.

Korytarz docierał do głuchej ściany wielkiego gmachu. Po chwili oczekiwania podłoga pokryta pęcherzykami zaczęła opadać powoli. Kiedy się zatrzy-

mała, górny otwór zaciągnęła gęsta zasłona. Teraz czekała ich przedziwna podróż.

Svensen i Barcz rozebrali się do naga, a ubranie włożyli do jakichś hermetycznych skrzyń. Potem zaczęli przechodzić z jednego pomieszczenia do drugiego przez komory z podwójnymi drzwiami. Spryskiwano ich, owiewano i myto strugami roztworów o różnych składnikach i różnej temperaturze... Było to podobne do przemarszu przez wodotryski. Barcz, zmrużywszy oczy, postępował za Svensenem, trzymając się jego wyciągniętej ręki. Po natryskach rozpoczął się cykl naświetlań, które upodabniały ich do widm: postępowali to w pomarańczowym, to w niebieskim, to w zielonym świetle promieniującym z prześwietlających ścian, to znów w kompletnej ciemności.

W pewnej chwili aparaty kontrolne, obserwujące te procedury, wyraziły jakąś wątpliwość, musieli więc powtórzyć jeden z wykonanych przed chwilą zabiegów.

Wreszcie zostało udzielone zezwolenie na ubranie się w nowiutkie kombinezony. Lekkie ubranie wisiało w hermetycznych szafkach z numerami rozmiarów na drzwiach.

Szczelne, jakby przeznaczone do lotów planetarnych, mleczno-białe kombinezony odsłoniły tylko twarz i ręce. Jeszcze jedno oględziny kontrolne — i oto podwórze więzienia.

Svensen wskazał na długi gmach.

— Tu mieszczą się grypy. Wszystkie, jakie są. Ponad sto. A to jest gmach dżumy, także, jak pan widzi, niemały.

— Czysty anachronizm — pośpiesznie dodał, uważawszy, że Barcz wzdrygnął się na wyraz „dżuma“.

— Jeden z paradoksów medycyny na tym polega, że dżuma, w ciągu tego czasu, odkąd znajduje się tutaj w zamknięciu, została tak zbadana i znaleziono przeciw niej tak silne i szybko działające środki, że gdyby nawet teraz wyrwała się na wolność, przysporzyłoby to najwyżej trochę niepotrzebnych kłopotów. Gdyby ludzkość przedtem dysponowała takimi środkami, dżuma byłaby uważana za niewinną chorobę, znacznie mniej niebezpieczną niż grypa. Oczywiście mam na myśli dżumę zwykłą.

— A czy są i niezwykle?

— O, ostatnimi czasy wykryto wiele rodzajów, które dawniej nie były znane. Nie odróżniano ich dlatego, że występowały w postaci znikomych dodatkowych objawów przy zwykłej dżumie dymienicowej. W tej liczbie wykryta została dżuma — w głosie Svensena zadźwięczał odcień dumy — w porównaniu z którą jest niczym wszystko, cokolwiek ludzkość znała. Surowice nie przeciwdziałają jej.

— Widzę, że pan jest pełen zachwyty dla niej. W ten sposób, jak dobrze pójdzie, zacznie pan entuzjastycznie mówić się również tantalusem?

— A dlaczegoż by nie — natychmiast odparł Svensen. — Proszę sobie przypomnieć historię z bakterią wywołującą dur powrotny — powiedział zatrzymując się i ujmując Barcza za łokieć. — Zniszczono ją z wyroku medyków. I cóż się potem stało? W dziesięć lat po zabiciu ostatniego przedstawiciela, pewien mikro-

biolog, badając już prace naukowe, ustalił, że ten organizm pobudzający czynności życiowe byłby niesłychanie pożyteczny — oczywiście w odpowiednio przekształconej postaci — w wielu procesach, które są potrzebne człowiekowi. Proszę spróbować odnaleźć teraz bakterię wywołującą dur powrotny w całym wszechświecie.

Svensen ścisnął rękę Barcza z siłą, jakiej trudno było spodziewać się u człowieka o tak drobnej budowie ciała. Barcz spojrział na rozmówcę. Uprzedzono go o „koniku“ znakomitego nadzorcy więziennego.

— Nie ma mikrobów wyłącznie szkodliwych — uroczyście, niby przemawiając z katedry, głosił Svensen. — jak również nie ma mikrobów wyłącznie pożytecznych. Poglądy na mikroby zmieniają się i będą się zmieniały, ale mikroby — wszelkie, jakiegokolwiek istnieją na Ziemi i na innych planetach — badacz musi mieć pod ręką. Dlatego też więzienie czy sanatorium mikrobów — może pan to nazwać, jak pan woli — uważam za genialny, trzeba to przyznać, pomysł Korbyszewa.

Barcz z zainteresowaniem wysłuchał tej tyrady, chociaż wyraz „opętany“ parę razy przychodził mu na myśl.

— Niewielu mamy obcych odwiedzających — przemówił Svensen zupełnie innym już tonem — dlatego każdy, kto przedostanie się za tę ścianę, staje się jakby wycieczkowiczem. Jeżeli pan chce...

— Oczywiście — ożywił się Barcz.

— A mianowicie?

— Gmach dżumy — natychmiast zdecydował się Barcz.

Do gmachu dżumy wpuszczono ich bez specjalnych ceremonii. Widocznie uważano, że pod kloszem nie ma już żadnych mikrobów.

Szeroki korytarz wiódł w głąb budynku. Po obu jego stronach widniały wąskie drzwi z wypisanymi — czarnymi literami na żółtym tle — nazwami różnych rodzajów dżumy.

Przy pewnych drzwiach Svensen zatrzymał się.

— Proszę — powiedział. — *Pestis mortis*. Ta sama.

Głęboko zainteresowany Barcz przestąpił próg. Ku jego zdziwieniu dosyć długo zatrzymano ich w komorze wstępnej, zanim wreszcie żarówka na suficie zapłonęła zielonym światłem.

— Czegóż wy się boicie? — zdumiał się. — Że się przeniesie bakterie z korytarza? A cóż tutaj można wnieść bardziej groźnego?

— W ogóle jesteśmy przeciwni łączeniu bakterii — odpowiedział Svensen. — To zniekształca obraz. Przecież z tego właśnie powodu *Pestis mortis* przez dłuższy czas nie można było wykryć!

Laboratorium wyglądało zupełnie pospolicie. Zwyczajny stół z kolbami i probówkami. Szeregi termostatów pod ścianą.

„Jesteś“ — pomyślał Barcz, zerkając na starannie wykonane szafki.

Dwaj mężczyźni w takich samych kombinezonach, jakie mieli Barcz i Svensen, ale w białych maskach

zakrywających twarz, jak również w białych rękawicach, pracowali przy długim stole.

Barcz nagle również zapragnął mieć rękawiczki na rękach i twarz okrytą maską. Pytająco spojrział na Svensena. Ale ten entuzjasta mikrobiologii najwidoczniej miał w pogardzie środki ostrożności.

— Chce pan spojrzeć?

Svensen podprowadził go do mikroskopu stojącego na stole. Barcz przybliżył oko do okularu i drgnął: na jasnożółtym tle pożywki poruszał się ogromny wąż — co prawda bez głowy i bez zwężającego się ogona. Ciemne jego ciało drgało konwulsyjnie.

Svensen dotknął dźwigni manipulatora i Barcz zobaczył, jak do wyciągniętego tułowia przybliżyło się precyzyjne ostrze noża. Wąż szarpnął się i sprężył do góry, ale nóż uchwycił odpowiedni moment i odciął kawałek Jego ciała. Po czym szybkim, zupełnie nieuchwytnym ruchem rozciął węża wzdłuż.

Automat-operator kontynuował sekcję bakcyła. Barcz doznał uczucia mdłości. Wielokrotnie już miał do czynienia z potworami niedostrzegalnymi dla nieuzbrojonego oka i obserwował ich straszne, niszczyielskie działanie — nie był tchórzem. Ale ten powiększony bakcyl, niejako gotowy złapać nóż polujący na niego, sprawiał przykre wrażenie.

Niezawodnie, dzielni ludzie pracowali w tym laboratorium, wytwarzając środki obronne przeciw chorobie, które może przydadzą się kiedyś — któż to wie! — przy odwiedzeniu innej planety. Milczący ludzie w maskach spokojnie przekazywali sobie nawzajem pro-

bówki zawierające śmierć najstraszniejszą ze wszystkich, jakie kiedykolwiek istniały na Ziemi.

Svensen nagle opamiętał się.

— Chodźmy — powiedział. Nasze prowizoryczne maski na twarzy i rękach wkrótce wyczerpią się.

To znaczy, że kiedy czekali w komorze wstępnej, nie osłonięte części ich ciała zostały poddane jakimś zabiegom. Barcz nieco się odprężył.

„To już wszystko“ — pomyślał z ulgą, kiedy żarówka na suficie komory wyjściowej zapłonęła zielonym światłem.

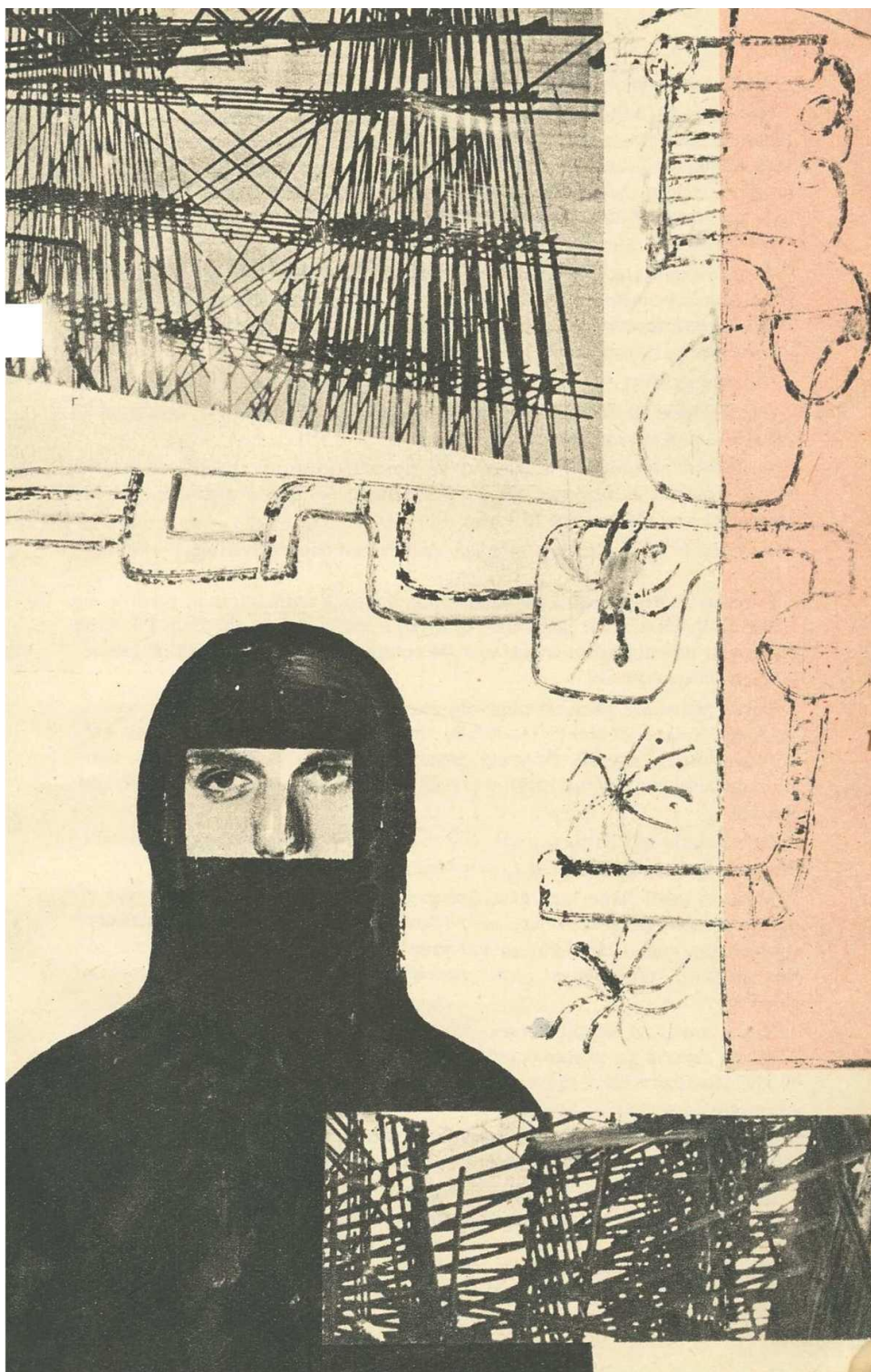
Ale radość jego okazała się przedwczesna. Drzwi wyjściowe pozostawały nadal zamknięte. Minęła minuta i podłoga w komorze wolno zaczęła się obniżać. Potem powtórzyło się prawie to samo, co już było przy wejściu do więzienia: obmywanie, naświetlanie i wreszcie aparaty kontrolujące zakomunikowały, że wyjście jest dozwolone.

— No, a gdyby? — zapytał Barcz.

— Kwarantanna — wzruszył ramionami Svensen.
— Zastrzyki. I wszystko inne.

— Przecież surowica nie przeciwdziała?

Svensen nic na to nie odpowiedział. Z takim samym powodzeniem można było dyskutować z żołnierzem na wojnie o niebezpieczeństwie, jakie niosą ze sobą kule.



— Do oddziału wirusów? — zaproponował.

Na oddziale wirusów Svensen długo oprowadzał Barcza po wszystkich laboratoriach. Barcz już nie miał nadziei znaleźć tu tantalusa ani jakiegoś jego dalekiego krewnego. Niemniej jednak wirusy, zamknięte w więzieniu pochłonęły jego uwagę: spośród tego, co się tu dokonywało, niewiele można było obserwować w zwykłych laboratoriach ziemskich, gdzie pracowano tylko z istotami nieszkodliwymi.

Miał okazję długo przyglądać się dzieleniu się i rozmnażaniu drobniutkich istot podobnych do sprężynek. Kształt sprężynek nieustannie się zmieniał. Był to jakiś fajerwerek zmienności kształtów. Jak wyjaśniali pracownicy laboratorium, proces ten był wywołany sztucznie.

— Stworzyliśmy już około sześciuset nowych form — mówili.

Barcz otrzymał blok uniwersalny, w którym upamiętnił i „sprężynki”, i wyjaśnienia pracowników.

— Jestem niezmiernie wdzięczny za umożliwienie mi zwiedzenia więzienia — powiedział żegnając się ze Svensenem. — Mam wrażenie, że nie zmarnowałem spędzonego tu czasu.

— Właśnie na to liczyłem — nieco zagadkowo odparł Svensen.

Barczowi, udręczonemu na zagubionej wysepce wulkanicznej, wydaje się teraz, że Svensen miał jakąś ukrytą myśl, z którą się nie zdradził. Po co

on namawiał do obejrzenia więzienia? Po co oprowadzał po wszystkich laboratoriach wirusowych?

Barcz ponownie obejrzał obrzydłe mu już skały. Chora noga nie dawała spokoju. Kolano obrzękło i zsiniało, ostry ból przeszywał ciało przy najlżejszym poruszeniu się. Oderwał rękaw od koszuli i zrobił opatrunek. Gdyby miał jedzenie i gdyby mógł rozniecić ogień! Wtedy wszystko wyglądałoby inaczej.

Czy szukają go? Niewątpliwie. Ale niełatwa to sztuka znaleźć na obszarze Oceanu Spokojnego człowieka, który nie może dać o sobie znać.

Musi się jakoś lepiej urządzić. Dalsze leżenie na tych kamieniach, ostrych jak szmergiel, po prostu jest niemożliwe. Chociaż trudno było powłóczyć nieruchomą nogą, Barcz postanowił przedostać się na wygodniejsze miejsce, do zapad liny porośniętej czymś podobnym do mchu. Tu było bardziej miętko.

Nagle dostrzegł wodę. Przez wąziutkie jak linia na dłoni wyżłobienie w głazie sączyła się przezroczysta, cieniutka jak bibułka wstążeczka wilgoci. Woda! Barcz przyłożył język do chropowatej powierzchni skały i przez kwadrans chyba wchłaniał kroplę po kropli.

Zachodzące słońce dotknęło horyzontu. I odtąd tonęło tak szybko, jakby się urwało z jakiegoś gwoździka na niebie. Nadleciał wietrzyk.

Barcz postanowił, że spróbuje usnąć. Nie zdążył jednak jeszcze zamknąć oczu, a w zmęczonym jego mózgu zaczęły powstawać nowe obrazy.

III

...Ujrzał siebie jakby z zewnątrz, siedzącego na werandzie, na wprost rozpościerającej się przed nimi plantacji trzciny cukrowej. Wygląda okropnie. Ostrolistne, zazwyczaj zielone rośliny są jak gdyby przepalane słońcem, pokryte jakimiś plamami, gdzieniegdzie zżarte przez niewidoczne gryzonie.

Barcz przed chwilą powrócił z lotu kontrolnego. Na całej Jamajce zachowało się nie więcej niż trzecia część plantacji trzciny cukrowej nie tkniętej przez tantalusa. Skąd się zjawiał ten nieszczęsny wirus? Nawet Klara, zachowująca w pamięci wszystkie wiadomości z biologii, jakie zna ludzkość, nic o nim nie umie powiedzieć. Nikt nigdy nie widział i nie opisywał wirusa podobnego do niego. Zdawałoby się, że w XXI wieku takie niespodziewane odkrycia w ogóle nie są do pomyslenia.

Barczowi, doświadczonemu tropicielowi, weteranowi Obrony Biologicznej, powierzona została trudna sprawa — wyjaśnienie pochodzenia tantalusa. Ale jak dotąd ze wszystkich stron otrzymuje jednakową odpowiedź: „nie ma“.

Łagodny odgłos płynący z góry skłonił Barcza, siedzącego nadal na werandzie, do podniesienia głowy. Z pięćdziesiąt powietrznych opryskiwaczy, podobnych do gigantycznych parasoli, ustawionych w szachownicę, leciało nisko nad plantacjami, pozostawiając za sobą zasłonę cytrynowo-żółtej mgły. Chemicy i biologowie Laboratorium Centralnego pracowali, zmieniając się, przez całą dobę, starając się znaleźć skuteczny

środek na najgroźniejszego szkodnika. Sądząc z koloru — było to coś nowego.

Mówiono już o tym, że trzeba będzie ogłosić kwwarantannę na Jamajce, zabronić wyjazdu i wjazdu na wyspę.

Opryskiwacze powietrzne, mającące na horyzoncie jak fantastyczne słoneczniki, zaczęły znikać jeden po drugim. Lądowały.

Barcz wciąż jeszcze patrzył na pola, gdy jego blok uniwersalny podał sygnał wywoławczy.

Skoro tylko Barcz nacisnął guziczek „odbiór“, ukazała się twarz Kerriego, naczelnika Obrony Biologicznej.

— Halo, Barcz! — ryczał Kerri, uśmiechnięty jak podobizna człowieka delektującego się kompotem konserwowym na reklamie w czasopiśmie z ubiegłego wieku. — Pan ciągle się kłopotczy o swego tantalusa? Proszę się trochę oderwać, zapomnieć o nim. Chociaż na dwa, trzy dni. Proszę mnie wysłuchać. W Afryce centralnej wybuchła jakaś choroba wśród słoni. Coś nowego, zupełnie nie znanego. Słowo honoru! Trzeba działać szybko i zdecydowanie, zanim się ona nie rozprzestrzeni. Proponuję panu wyjazd tam. A potem wróci pan do swojego tantalusa i zapewniam, że wpadnie pan na właściwy pomysł, ja zawsze tak robię. Zgadza się pan?

Barcz odczuwał właśnie brak tego, co było dlań niezbędne, a mianowicie możliwości przyczynienia się do czegoś konkretnego, użytecznego.

— Tak, Kerri — odpowiedział. — Z przyjemnością.

— Charlie i App już wystartowali — zakomunikował Kerri. — Jeden z Irlandii, a drugi z Nikaragui. Pan będzie trzeci. Proszę utrzymywać łączność ze mną. — Wymienił koordynanty i znikł z ekranu.

Po pięciu minutach Barcz był już w powietrzu. O, ten lot był bardzo udany! Samolot ze świstem pruł powietrze, kierując się ku punktowi, który Barcz mu wyznaczył na mapie.

Po dwu godzinach ukazało się jezioro z zaroślami trzciny na brzegu, a w dole mignął domek i duża polanka. Był to rezerwat słoni, w którym przeprowadzał doświadczenia Ngarroba, wiceprzewodniczący Afrykańskiej Akademii Nauk, przebywający obecnie na Wenus. Barcz nacisnął guzik „lądowanie“. Samolot zaczął szukać odpowiedniego miejsca. Przeleciał parę razy nad polanką, opuszczając się coraz niżej: wreszcie, doszedłszy widocznie do wniosku, że lepszego miejsca nie znajdzie, szybko pomknął ku ziemi. Stał tam już samolot „pogotowia ratunkowego“. Samolot Barcza dotarł do niego. Barcz nie zdążył jeszcze przywitać się z Charlie, gdy w powietrzu ukazał się samolot Appa.

Nie tracąc czasu, wszyscy trzech skierowali się ku jezioru.

Słonie zastali na piaszczystym brzegu, zdeptanym ich potężnymi nogami. Nie tak piękne jak ich indyjscy współbracia, z nieproporcjonalnie wielkimi głowami, zwierzęta stały lub leżały, nie wykazując objawów zwykłego ożywienia. Ogromne uszy zwisały jak szma-

ty, a trąby zwiędniałe, bezsilne dotykały ziemi lub leżały na niej jak kawałki grubego powroza.

Bandi, pomocnik Ngarroby, chodził między słoniami, jak by to były nie żywe istoty, ale szare skały w kształcie zwierząt. A słonie nie zwracały na niego większej uwagi niż na ptaki skaczące po piasku.

— Źle — powiedział App, obserwując ten obrazek.

Czarna twarz Bandiego wydawała się szara ze zdenerwowania i zmęczenia.

— To się zaczęło wczoraj — powiedział. — I widzicie...

— Co one jadły? — zainteresował się Charlie.

— To samo, co zawsze. — Bandi wzruszył ramionami. — Tam — rzekł, ruchem głowy wskazując zarosła trzciny — jest ich ulubiony przysmak.

Powierzywszy Charlie, Appowi oraz Bandiemu zajęcie się chorymi słoniami, Barcz skierował się ku zarosłom. Ściął kilka roślin i uważnie obejrzał je. Nic podejrzanego. Wtedy przeszedł wzdłuż brzegu ze dwa kilometry — trzcina wszędzie była jednakowa. Wziąwszy z różnych miejsc próbki do badania, Barcz skierował się na miejsce postoju samolotów „pogotowia ratunkowego“.

Charlie i App już tam byli.

— Anemia — oznajmił App — w jakiejś złośliwej formie.

— Pobrałem krew — dorzucił Charlie. Wewnątrz jego samolotu świeciły się żarówki, coś cicho bulgotało, kolorowe płyny przelewały się w rurkach — automat-analizator wykonywał swoją pracę.

Barcz wszedł do swojego samolotu. Przyniesioną trzcinę pociął na kawałki i przekazał je laborantom-automatom, a sam, żeby nie tracić czasu, zasiadł przy mikroskopie. Brał skrawki i kładł je na szkiełko przedmiotowe. Nie dostrzegał nic nadzwyczajnego do chwili, gdy przed oczami jego znalazł się liść odwrócony do góry wewnętrzną stroną.

Delikatne, zielone tło upstrzone było drobnymi, ledwie dostrzegalnymi kropkami. Barcz wyciął maleńki kawałeczek z jedną kropką i wzmocnił powiększenie. Teraz kropka wyglądała jak mały wulkanik z kraterem pośrodku.

Dwa automaty-laboranty dały sygnał wykonania pracy. Nie wstając, Barcz wyciągnął rękę i wziął niebieskie blankiety. Jeden z nich zawierał analizę popiołu: wszystko było w normie prócz manganu, który nie wiadomo skąd się wziął. Drugi wymieniał skład protoplazmy — tu, co prawda, były niewielkie odchylenia, należało je jeszcze zbadać.

Ale Barcz aż drgnął, kiedy wziął do rąk blankiet przygotowany przez trzeciego laboranta. Były to powiększone zdjęcia mikrobów wykrytych w trzcinie, a wśród nich — Barcz chciał przetrzeć oczy — tak znane mu zarysy tantalusa. Stanowczo dostał manii prześladowczej.

Barcz wziął lupę i nie spiesząc, jak mógł najspokojniej zaczął przyglądać się zdjęciom. Nie, ten osobnik podobny do znaku paragrafu nie wzbudzał wątpliwości. Tantalus, najprawdziwszy tantalus.

Czwarty, piąty, szósty laborant sygnalizował, że polecona praca została już wykonana, ale Barcz nie oglądał raportów i odkładając je na bok wywoływał Klarę.

Kiedy się wreszcie odezwała, stół Barcza był dosłownie zasypany stosem zestawień. Przerzucając je i przeglądając pobieżnie, rzucał Klarze pytania jedno po drugim.

Na pytanie o kropeczkach Klara dała nieoczekiwaną odpowiedź: wymieniła nazwę wirusa wykrytego przed pół wiekiem w dorzeczu Amazonki.

Amazoński wirus — według słów Klary — był nieszkodliwy, niczym się nie wyróżniający i tak pozbawiony cech szczególnych, że wiadomości o nim zajmowały łącznie pięć wierszy w Wielkiej Encyklopedii Mikrobów. Wpływu na życie rośliny, w której się znajdował, najwidoczniej nie miał. Wykryty przypadkowo — żył nieznany, aż dzisiaj zainteresował się nim Barcz.

Barcz wywołał Kerriego. Jamajka natychmiast odezwała się.

— Proszę spróbować nakarmić słonie trzcinażoną tantalusem. Pożądane jest, żeby to były słonie afrykańskie.

— Dobrze, ale co się stało?

Barcz opowiedział.

Szeroka twarz Kerriego stała się jeszcze szersza.

— To jest pomysł!

Kerri promieniał! Nie bez powodu mówiono o nim, że jeśli kiedyś w Obronie Biologicznej nie będzie już

żadnych spraw, to zmarnieje i umrze na nie znana ludzkości chorobę.

Kierownik Obrony Biologicznej poprosił o przekazanie mu całkowitego materiału, jaki uzyskał Barcz od laborantów. Barcz nacisnął guzik „przekazywanie informacji“ i wyszedł z samolotu.

Charlie i App również przekazywali pierwsze wiadomości do centrali.

— Choroba wirusowa — powiedział App.

— We krwi nadmiar manganu — konstatował Charlie. — A co u pana?

— Podobne do tantalususa — odparł Barcz — a jednocześnie wcale nie podobne. Manganu jest także dużo w trzcinnie. Może tajemnica tkwi w manganie?

Po paru godzinach Barcz znów wywołał Kerriego. Ten zakomunikował, że trzcina jamajska, zarażona tantalusem, którą nakarmiono dwa słonie afrykańskie, nie wywarła na nich wrażenia.

— Trzeba raz jeszcze wziąć słonie — zaproponował Charlie — i spróbować nakarmić je tą samą trzcina, ale uprzednio zaprawioną manganem.

— Dobrze — mruknął Kerri. — Pasie się i pasie dla was te słonie. Jeżeli otrzymamy surowicę, to wam przyślemy. Ratujcie chociaż te, które macie.

Po skończonej rozmowie App oświadczył:

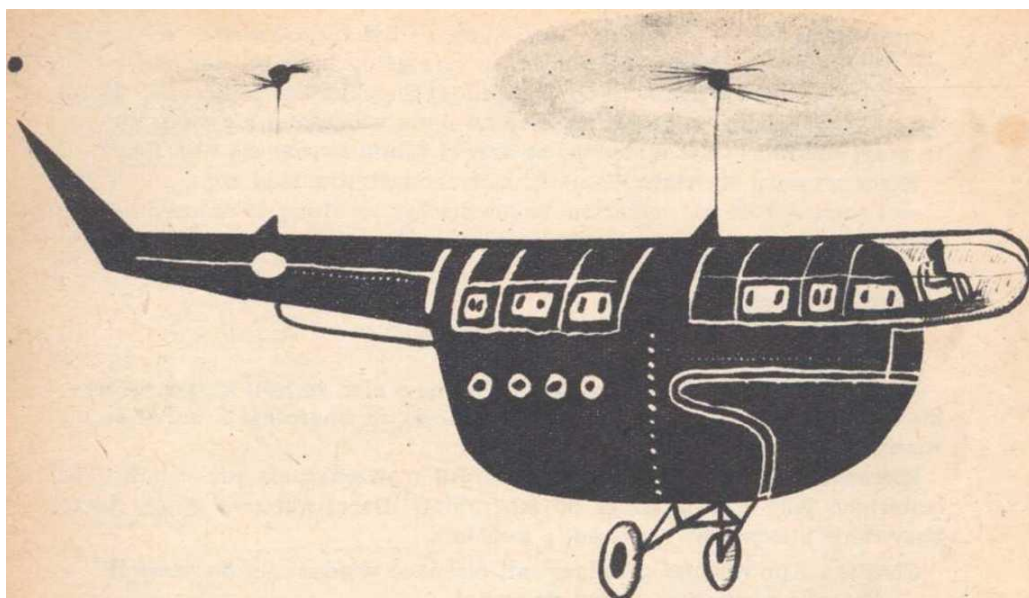
— Słonie należy przeprowadzić na zdrowe miejsce.

— Sądzę, że każde będzie odpowiednie, byleby gleba nie zawierała manganu.

Barcz wsiadł w samolot i wyruszył na poszukiwanie miejsca.

Pozostali zajęli się słoniami. Zwierzęta tak osłabły, że wiele z nich nie mogło utrzymać się na nogach.

Bandi wezwał transportowe śmigłowce. Po upływie mniej więcej godziny ogromne wozy wylądowały na polance. Słonie ładowano za pomocą dźwigu, opuszczając wynędzniałe ciała do wozów i zasuwanąc potem dach.



Niektóre były tak bezsilne, że z trudnością zmuszono je, aby się dźwignęły chociaż o tyle, żeby można było założyć pętlę.

— To są właśnie te, na których przeprowadzał doświadczenia Ngarroba — zauważył Bandi. — Będzie bardzo przykro, jeżeli padną.

Charlie, App i Bandi przez całą noc zajęci byli lokowaniem słoni na nowym miejscu. Dopiero o świcie Bandi odesłał śmigłowce.

— A więc — powiedział App, obejrzawszy słonie bezwładnie leżące na trawie — właściwie możemy sobie pozwolić na odpoczynek. Jeden śpi — dwaj pracują. Może tak zrobimy.

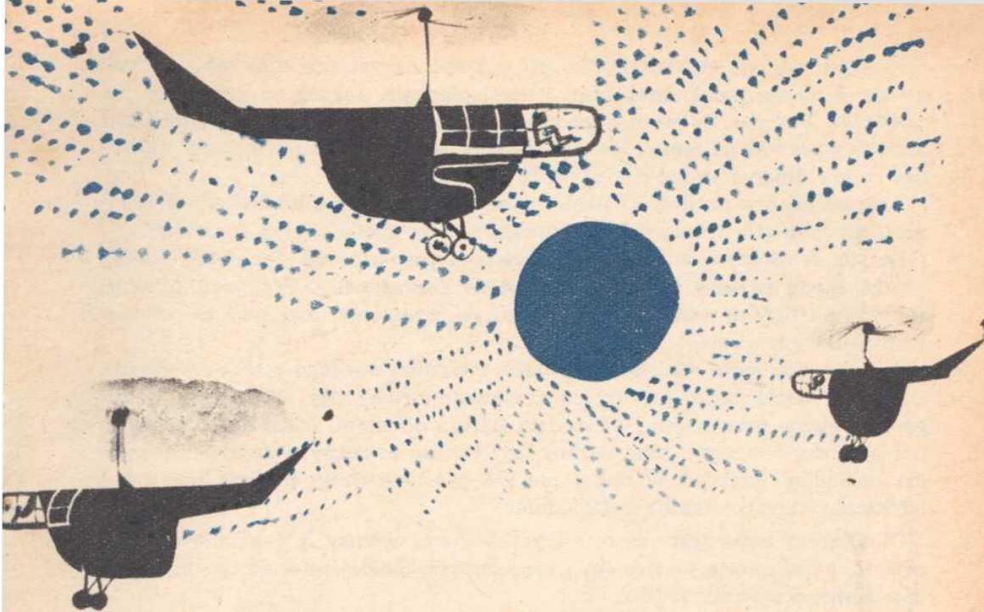
Barczowi przypadła pierwsza kolejka do snu. Zamknął więc szczelnie drzwi kabiny, ustawił wskaźniki instrumentów na taką temperaturę i wilgotność powietrza, do jakiej był przyzwyczajony, i nacisnął guzik „pościel“. Wysunął się materac konstrukcji Instytutu Snu, utrzymujący człowieka niejako zawieszony w powietrzu, tak że nie ma mowy o odgnieceniu ręki czy nogi, nawet gdyby się tego chciało. Po włączeniu elektrosnu na „obudzenie naturalne“ Barcz rozebrał się. Jakże to jest przyjemnie spać w kąpielu powietrznej! Przez tyle wieków ludzie owijali się w skóry zwierząt i w kołdry — zasadniczo niewiele różniące się od skór — zanim wreszcie porzucili ten prymitywny sposób chronienia ciała przed chłodem.

Jeszcze jakaś myśl nawiedziła Barcza, ale już dotknął głową poduszki i mózg jego natychmiast zaczął się łagodnie częściami wyłączać. Barcz usnął.

IV

Teraz skóra zwierzęcia wydaje się Barczowi szczytem wymarzonej rozkoszy. Odleżał już sobie rękę, nogę i ramię, a w nocy o mało nie zamarznął. Nie mógł usnąć w tak prymitywnych warunkach.

Słońce znów rozżarza powietrze. Dookoła ciągle ten sam nagi ocean i zawisłe nad nim martwe niebo.



Kolano spuchło jeszcze bardziej i Barcz nie może poruszać nogą.

Od gorąca i zmęczenia zaczynają mu się mącić myśli. Próbuje jakoś je uporządkować.

Co się właściwie stało potem, kiedy zasnął? Spał trzy i pół godziny — o pół godziny dłużej niż zwykle.

Gdy się tylko obudził, wezwał go Kerri.

— Wydaje mi się — powiedział — że właściwie nie ma pan tam co robić. Przecież żywiołem pana są rośliny, a nie zwierzęta. Niech App i Charlie zajmują się słoniami, a pana proszę, żeby pan wszystko odłożył i poleciał na wyspę Tuamotu. Wykryto tam wirusa, który gwałtownie przyspiesza wzrost bambusa. Naprawdę na naszej planecie dzieje się coś dziwnego. A może istotnie dotarł tu jakiś żywy pył z dali kosmicznej? Jest to ostateczne polecenie, potem powróci pan do tantalusa.

...Co było dalej? Na Barcza czatowała przygoda, której tak bardzo pragnęła jego romantyczna dusza. I oto już drugą dobę spędza na tej nieznannej wysepce. Dręczy go jedna myśl, ciągle ta sama myśl — o tantalusie. Barcz znów odtwarza łańcuch zdarzeń, dokładnie badając każde ogniwo. Och, ma tak dużo czasu na rozmyślania! Czasu, którego tak mu było brak w minionych dniach pełnych zamętu.

Nagle drgnął jak ukłuty. Spróbował nawet dźwignąć się, ale pod wpływem silnego bólu nogi znów opadł na kamienie.

Jakby w jakimś objawieniu, zupełnie jasno i wyraźnie zdał sobie sprawę z tego, skąd się wziął tantalus na naszej planecie. Jakżeż on mógł tego



nie wiedzieć? Przecież Svensen doprowadzał go do tej myśli bezpośrednio, bez mała wskazywał palcem. Przecież dlatego pokazywał mu więzienie mikrobów i tak długo trzymał na oddziale wirusów.

Ależ oczywiście, tantalus powstał w wyniku szybkiej i wielokrotnej zmiany form jakiegoś wirusa dawno istniejącego na Ziemi. Teraz Barczowi wydaje się, że ta myśl w mętnych kształtach przyszła mu do głowy jeszcze wtedy, kiedy oglądał niezliczone odmiany

„sprężynek“. Przypomina sobie, że Svensen bardzo uważnie obserwował go przez cały czas, gdy się znajdowali w laboratorium.

Svensen dlaczegoś nie chciał ujawnić Barczowi swojego punktu widzenia. Dlaczego? Może chciał skontrolować samego siebie? Czy też bał się, że sugerując swoje przekonanie, odwiedzie Barcza od innej, może bardziej słusznej hipotezy? Svensen, jako uczoney, był bardzo ostrożny w wyrażaniu swoich poglądów. Przecież w nauce nie ma prostych dróg: niczego nie wolno odrzucać, wszystko trzeba uwzględnić.

Dla Barcza teraz jest jasne: wszystkie nowe wirusy, które narobiły tyle zamętu, są w istocie — jednym i tym samym. Ściślej mówiąc, pochodzą od tego samego wirusa.

A wszystko się zaczęło, oczywiście, od tego cichego i skromnego wirusa, który może istniał nie znany przez tysiące lat w tropikalnych dżunglach Ameryki Południowej. To on właśnie jest protoplastą tantalusa i tego wirusa, który wywołał chorobę słoni. A najprawdopodobniej również i tego, który przyspiesza wzrost bambusa. Manganem zaś należało działać nie na tantalusa, lecz właśnie na tego „rodzicielskiego“ wirusa, wykrytego przed pół wiekiem w dorzeczu Amazonki. Wtedy na pewno uzyskano by formę wirusa wywołującego chorobę słoni.

Ach, jaka szkoda, że te myśli przyszły tak późno! Przeklęty blok uniwersalny! Jak by on się teraz przydał... I nagle — Barcz sądził, że go słuch myli — blok uniwersalny podał wyraźny sygnał: „pilny komunikat“.

Barcz chwyta blok i gorączkowo naciska guzik. Niestety, żarówka zapala się tylko przy ustawieniu strzałki na falę pilnych komunikatów. Oczywiście: przecież do przyjęcia tej fali w bloku jest urządzenie specjalne. Widocznie ono ocalało.

Zanim Barcz, zdenerwowany, zdołał zorientować się, spiker komunikuje:

— „Wenus 8“ wraca na Ziemię.

W pierwszej chwili Barcz nie może całkowicie pojąć sensu komunikatu.

„Dobrze, że Karbyszew wkrótce już będzie na Ziemi — myśli machinalnie. — Pomoże zorientować się w tej historii z tantalusem“.

Spiker komunikuje, że rakieta leci na Ziemię. Ustaliły to obserwacje astronomiczne. Połączenia z rakieta nie ma.

I nie będzie, przypomina sobie Barcz, zanim rakieta nie oddali się od Wenus na dostateczną odległość.

Przysunął blok uniwersalny do skały w ten sposób, że nie odwracając głowy mógł widzieć ekran, a guzik ustawił w pozycji „odbiór“.

Noc minęła spokojnie. Rano Barcz usłyszał głos spikera.

Nadawał jakieś komunikaty, ale Barcz był półprzytomny. Wyrazy docierały do jego słuchu, lecz nie do świadomości. Ile czasu minęło? Chyba niemało. Potem wyraźnie usłyszał głos Charliego.

— Halo, Barcz! Gdzie pan jest? Co się z panem stało?

Na ekranie ukazała się twarz Charliego — blada, z kosmykiem czarnych włosów spadających na czoło. Z nateżeniem wpatrywał się w Barcza, jakby starając się go dostrzec.

— Dlaczego pan milczy?

Charlie zniknął, a Barcz, jakby w jakimś zaćmieniu, długo się zastanawiał, czy mu się tylko wydawało, czy też naprawdę widział Charliego.

Ostry głos przywrócił mu przytomność. Na ekranie uwidoczniła się niewyraźna plama, która pełzła po przekątnej jak stonoga. To rakieta wchodziła w strefę ziemskiego pola kierowania i telewizja przekazywała jej obraz.

Barcz znów zamknął powieki... Ocknął się słysząc szum gdzieś zupełnie blisko. Otworzywszy oczy, ujrzał na ekranie bloku uniwersalnego ogromny stadion wypełniony tłumem ludzi. Poznał ośmiopiętrowy stadion w Melbourne na pół miliona miejsc.

Na ekranie widniał otwarty strumieniolot. Trzymając się poręczy, na pomoście stał Karbyszew. Znajoma, energiczna twarz z niebieskimi oczami, w których zawsze czaił się uśmiech. Obok — Ngarroba, ogromny, promieniejący, machający ręką. Tuż przy nich — opanowany, spokojny Sun-lin i maleńki, wytworny Gargi, którego Barcz znał tylko z fotografii.

Potem Karbyszew przemawiał, a telewizyjne kamery automatyczne przekazywały postaci uczestników ekspedycji i wykonane przez nich na Wenus filmy.

Jeszcze raz na ekranie ukazał się Charlie z wyrazem zakłopotania na twarzy.

— Barcz, gdzie się pan zaprzepaścił? — zapytywał, oglądając się dokoła. — Proszę przekazać chociaż koordynanty. My już nie mamy sił...

Charlie znów zniknął.

Wysiłkiem woli Barcz odpędził niepotrzebne myśli i spróbował zdrzemnąć się. Musi przetrwać jak najdłużej — może jednak odnajdą go.

...Ujrzał Charliego jak przez mgłę. Ten tak uważnie się przyglądał, jakby go tym razem naprawdę widział. Potem Charlie posunął się o krok naprzód i Barcz zrozumiał, że to jest żywy Charlie, a nie jego obraz na ekranie.

— Nareszcie! — zawołał Charlie. — A co się stało z nogą?

W odpowiedzi Barcz tylko poruszył ustami.

-- Spenetrowałem cały Ocean Spokojny — kontynuował Charlie. — Najbardziej obawialiśmy się tego, że pana przeniosło poza wysepkę. Samolot nie stwierdził lądowania, radiował tylko, że zrzucił pana na spadochronie, i dał niedokładne koordynanty. Płonął bowiem już w powietrzu...

Barcz poczekał, aż postać Charliego z mglistej stała się wyraźną, a głos zabrzmiał w uszach bardziej dobitnie.

— Tantalus — zawołał nateżając siły — i wirus słoniowy — to jest to samo! I ten z Amazonki...

I oto nadszedł dzień sądu. Zgodnie ze zwyczajem, nie referowano sprawy. Obecny po prostu w skróceniu przypomniano jej treść.

Świecąca kopuła okrągłej sali zgasła, ściany znikły i zebrani jak gdyby znaleźli się w dziewiczym lesie nad Amazonką. Dookoła rosły drzewa, gałęzie ich miejscami spletały się tworząc zielone sklepienie. Ptaki fruwały nad głowami uciszonego audytorium, wypełniając powietrze przenikliwymi głosami

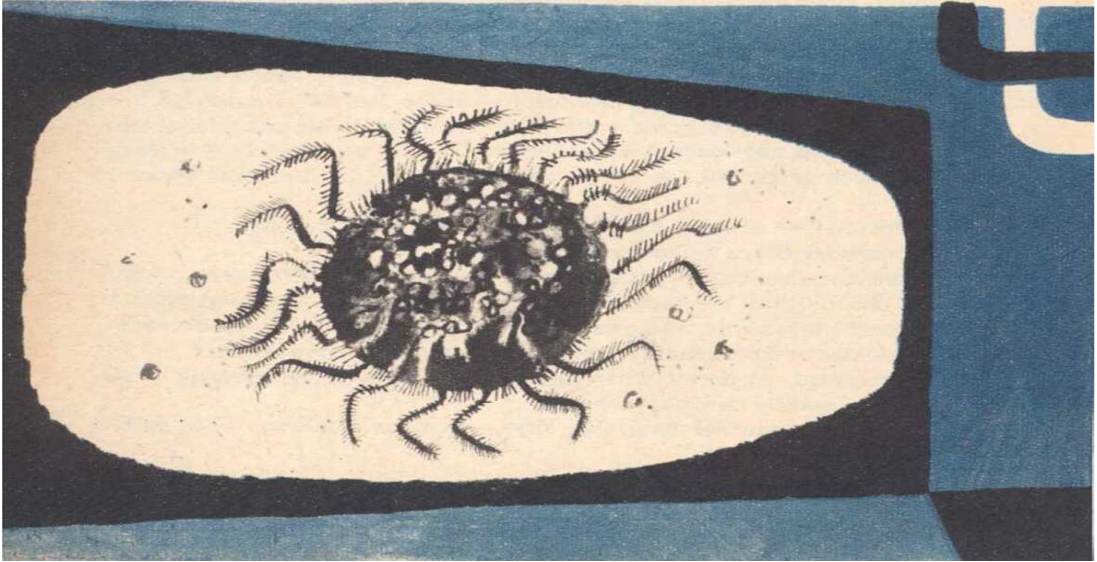
Potem nad głowami zapłonęło sześć wielkich kół, a w nich ukazały się powiększone kształty tantalus-1, jak teraz nazywano głównego założyciela rodu wszystkich tantalusów. Wszystkie sześć tantalusów-1 podrygiwało i poruszało się jednakowo i w takt, jakby wykonując ćwiczenia gimnastyczne na fantastycznej defiladzie sportowej. Była to bowiem naprawdę defilada. Jeden tantalus następował po drugim aż do ostatniego, dziesiątego, wykrytego niedawno na wyspach Salomona.

Potem zostały zademonstrowane wyczyny przestępczych oskarżonych.

Widzowie ujrzeli ginące rośliny na plantacjach trzciny cukrowej na Jamajce, słonie afrykańskie bezradnie rozpostarte na ziemi.

— Chodzi nie tylko o słonie — oświadczył dyrektor — ale również o doświadczenia Ngarroby.

Ale nie tylko tym było obciążone konto tantalusa. Biuro planowania ogłosiło cyfry. Tysiące ton zmarnowanej trzciny cukrowej i innych surowców, powikłania w podróżach ludzi spowodowane kwarantannami, które trzeba było wprowadzić w wielu okręgach — bezceństwa wielopostaciowego wirusa drogo kosztowały ludzkość.



— Ale tantalus nie tylko jest szkodliwy — zakomunikował dyrektor.

— Obiektywnie należy stwierdzić, że przynosi on również korzyść, i to wielką. Ustalono zostało, że sprzyja wzrostowi roślin. Nawet trzcina cukrowa w pierwszym okresie choroby wykonuje wielki skok we wzrastaniu, dopiero potem rozwój zostaje wstrzymany i roślina ginie. Na wzrost zaś znany pod numerem ale w takich wypadkach wyciąga się po prostu w oczach. Poza tym udoskonala się struktura tkanki - bambus

staje się bardziej wytrzymały i giętki. Tak zwany "bambus tantalusowy" uważany jest za najlepszy do wszystkich wyrobów artystycznych.

Barcz czekał niecierpliwie, zagadnienia, któremu on poświęcił tyle sił.

Wreszcie dyrektor powiedział:

— Tantalus-1 żył u źródeł Amazonki cicho i spokojnie, dopóki człowiek, ogarniający swoją działalno-

ścią całą planetę, nie dostał się do tych zapadłych miejsc. Wyrabane przesieki otwały drogę do lasu promieniom słońca. Budowanie tam miast i zakładów przemysłowych sprzyjało zawleczeniu do leśnych dżungli różnych substancji chemicznych, z którymi tantalus przedtem nie stykał się. Okazało się, że jest on niezmiernie wrażliwy na niektóre z nich — nie tylko na mangan, który zrodził tantalusa-3, ale również na zwyczajne wapno. Zaczęło się burzliwe dostosowywanie się do nowych warunków, któremu towarzyszyła zmiana cech.

Teraz należy zdecydować, co z nim zrobić.

— Uwięzić — powiedział sąsiad Barcza, który pierwszy poprosił o głos. — I to natychmiast. Tak jak się izoluje umysłowo chorych. Przecież z wariatem nigdy nie wiadomo, co zrobi za chwilę. Tak właśnie wygląda sprawa tantalusa.

— Skazać na więzienie wirusa z tyloma dodatkimi cechami? — zdziwił się Svensen. — Tego jeszcze nie było w historii więzienia mikrobów!

— Wyrzec się przyspieszenia wzrostu roślin? Wysokowyrzynałego bambusa? — podtrzymał go jeszcze któryś z obrońców tantalusa.

— I zguby trzciny cukrowej, i choroby słoni — ironicznie dorzucił głos z przeciwległego końca sali.

— Przeciw tantalusowi-2 i tantalusowi-3 wynaleziono już skuteczne środki!

— Ale kto wie, co przyniesie tantalus-11? — Jak zwykle prawie wszyscy obecni na sali starali się wypowiedzieć swoje mniemanie.



Najbardziej gorączkował się Svensen.

— Jeśli przerwiemy żywiołowy eksperyment, jakiego dostarcza przyroda — mówił — nie dowiemy się

wielu rzeczy, do których w naszych laboratoriach dojdziemy może dopiero za dziesięć czy dwadzieścia lat.

— Co jest ważniejsze: człowiek czy mikrob? — zaprzeczył przedstawiciel Biura Planowania. — I jakąż w tym jest rola przyrody? Ostatecznie, aktywność tantalusa wywołała nie przyroda, z którą żył w zgodzie tysiące lat, ale człowiek. Cała działalność tantalusa ostatnimi czasy jest, faktycznie, buntem przeciw człowiekowi, przeciw jego dziełu...

Po kilka osób naraz naciskało guziki, domagając się możliwości rzucenia chociażby repliki. Nie można było nadażyć z udzielaniem głosu.

W momencie największego rozognienia dyskusji, kiedy na pulpicie spikera paliło się ponad tuzin żarówek, rozległ się głos Karbyszewa:

— Zgłaszam wniosek!

Hałas na sali ucichł. Organizatora rezerwatu mikrobów znano i liczono się z jego zdaniem.

— Mam taką propozycję — powiedział Karbyszew. — Tantalusy osadzić w więzieniu mikrobów. Pozostające poza więzieniem — całkowicie wyniszczyć. W więzieniu wydzielić dla nich specjalny gmach: dla każdego rodzaju oddzielne laboratorium oraz stworzyć trzydzieści laboratoriów rezerwowych dla przyszłych tantalusów, które jeszcze powstaną. Żywiolowy eksperyment przyrody zamienimy na planowe doświadczenia. Wyzyskamy wszystkie znane nam środki, aby oddziaływać nimi na mikroorganizmy. I skoro tylko osiągniemy trwałe gatunki o cechach dodatnich, będziemy je wypuszczali na wolność.

Wniosek został przyjęty.

* * *

Karbyszew dyskutował o czymś z Ngarrobą i Sunlinem. Wszyscy trzej spojrzeli uważnie na nadchodzącego Barcza.

— Wie pan co — odezwał się Karbyszew — wydaje mi się, że pan nie ma co robić na Ziemi. Sądzę, że to, czego świadkami byliśmy, jest już ostatnim na Ziemi buntem przyrody przeciw człowiekowi. Na Wenus — inna sprawa. Tam jest mnóstwo nikomu nie znanych mikroorganizmów. Można powiedzieć, że jest to jednolity rezerwat dzikiej przyrody. I niebezpieczeństwa na każdym kroku. Organizujemy właśnie pierwszą zmianę dla stałej stacji naukowej na Wenus. Proszę pomyśleć o tym, dobrze?

Ostatni dorożkarz

1

Wzgórza, potężne zmarszczki na ciele planety pokrywały całą widoczną przestrzeń, tłoczyły się w chaotycznym nieładzie, zasłaniały horyzont. Z lewej strony, wprost po linii południka, nie zbacząc ani o krok, Wielka Trasa Polarna. Igor dobrze widział z góry, jak przeskakiwała przez wąwozy, zanurzała w tunelach i znów biegła w dal.

Sopka Ostrokonieczna jak zwykle ukazała się nie od razu i na jej widok Igor instynktownie uniósł się trochę w fotelu. Ogarnęło go uczucie niecierpliwego, oczekiwania, znane myśliwym, rybakom, miłośnikom przyrody. Wibrolot jakby odgadując pragnienie jeźdźca wzbił się w górę, po czym pomknął ku Sopce Ostrokoniecznej z całą szybkością, na jaką go było stać. Przejrzyste skrzydła wibrowały niezmordowanie i rytmicznie. Lot był cudowny i Igor znów pomyślał, że uruchomienie skrzydeł za pomocą prądów czynnościowych powstających w organizmie człowieka na skutek samej myśli o ruchu — to wspaniała rzecz: wystarczy zapragnąć lecieć — i już się leci. Zachwycające uczu-

cie! Szkoda tylko, że nie można tego wykorzystać dla trans — kontynentalnych liniowców.

Gdy tylko wibrolot znalazł się nad wierzchołkiem sopki, fotel wraz z jeźdźcem zawisł w powietrzu i zaraz potem, na życzenie Igora, zaczął opisywać koła i zyg-zaki.

Ale Igor nigdzie nie mógł dojrzeć tego, czego szukał.

Wreszcie na polance u podnóża sopki mignęła żółta plama. Tuż za piękną tygryśnicą z zarośli trzciniowych wytoczyły się dwa wielkie, pręgowane tygrysiątka i zaczęły igrać w trawie.

Fotel zniżył się i znieruchomiał nad pręgowaną rodziną na wysokości dziesięciu metrów. Zwierzęta były widocznie do tego przyzwyczajone, bawiły się dalej bez troski. Nic nie zakłócało Igorowi przyjemności obserwowania tygrysów.

Pomysł stworzenia rezerwatu, którego nie dotknęłaby nigdy noga ludzka, należał do Igora. Bądź co bądź biologia była jego drugim zawodem. A pierwszy... Igor westchnął.

Przyjrząwszy się im dowoli, wyjął z kieszeni na piersi blok uniwersalny, skierował obiektyw na tygrysy i spoglądał na ekran. Gdy ułowił jakąś interesującą scenkę, naciskał guziczek „zdjęcia”. Od paru miesięcy prowadził już kronikę filmową z życia tygryśniej rodziny i liczył, że za jakieś półtora roku będzie miał gotowy film dokumentalny.

Wsunął już blok uniwersalny z powrotem do kieszeni, gdy usłyszał sygnał „wezwanie”.

— Słucham — powiedział.

Według ostatniej mody umieszczał blok uniwersalny w kieszeni w taki sposób, aby mikrofon wystawał na zewnątrz. Dawało to możliwość rozmowy bez wyjmowania bloku.

— Co robisz i gdzie jesteś? — zabrzmiał wesoły głos.

Igor wyjął płaski, ze sprężystej masy plastycznej blok i zwrócił ekranem ku sobie. Rude włosy, obsypany piegami nos, śmiejące się oczy... Odbicie, które trzymał w ręku, otwarło usta i rzekło:

— Nareszcie wyjąłeś mnie z kieszeni. No, to pokaż się, jak wyglądasz. Sto lat cię nie widziałem.

Igor zwrócił wylot obiektywu w swoją stronę. Rudy Loszka skrzywił wargi w drwiącym uśmiechu.

— Istny bikiniarz, jak mawiali nasi przodkowie. Nawet guziki „orbis” z radiostacją wewnątrz. Jakby blok uniwersalny nie był wystarczający! Zabawki... Poważni ludzie nie zajmują się takimi głupstwami. Zdaje mi się, że jesteś gdzieś w powietrzu. A co jest na dole? Pokaż. Ach, to Błękitne Sopki! No cóż, interesujący pomysł. A gdzie słynna rodzina tygrysa? Widzę, rzeczywiście piękne! A więc jesteś w swoim żywiole — w powietrzu i na łonie natury...

Aleksy wyraźnie pokpiwał sobie z przyjaciela. Czy to oznaczało, że ma w zanadrzu jakąś niespodziankę?

— Nawiasem mówiąc — powiedział — kiedy lecisz? Za godzinę? Dokąd? Do Australii? To wstąp do mnie... Jestem właśnie w Australii. W Platoburgu. No, więc tymczasem, jak mawiali nasi przodkowie. Czego

się śmiejesz? Na własne oczy czytałem to w jednej książce. Czy zapomniałeś, że historia literatury to moja trzecia specjalność? Jeszcze w szkolnych czasach miałem do tego pociąg... Do prędkiego zobaczenia!

Aleksy zniknął, a na ekranie Igor jak w lustrze zobaczył siebie samego. Długa, jakby wyciągnięta twarz z dosyć posępnym wyrazem, a może to się tylko wydaje w porównaniu z Loszką? Obok Loszki każdy wygląda, jakby się smucił!

— Czas na lotnisko — powiedział Igor z ekranu do Igora oglądającego swoje odbicie.

Ach, więc to dlatego miał na ekranie tak posępny wyraz twarzy! Myślni był już przy czekającym go rejście.

Zresztą dziś właśnie lot będzie interesujący, choćby dlatego, że na końcu czeka go spotkanie z Aleksym.

Igor stanowczym ruchem wsunął blok do kieszeni. Podporządkowując się jego życzeniu wibrolot pomknął w stronę lotniska.

2

Na wyłożonym żłobkowanymi płytami z masy plastikowej lotnisku stał wysmukły, z mocno cofniętymi w tył ostrymi skrzydłami transkontynentalny liniowiec na pięćset miejsc. Pasażerowie dostawali się do niego przez trzy wejścia po ruchomych schodach.

Wibrolot lekko wylądował przed czwartym, służbowym wejściem. Igor wstał z fotela, nacisnął guziczek „niepotrzebny” i fotel ze złożonymi skrzydłami pobiegł

posłusznie jak piesek na miejsce postoju. Dobry model, ostatni typ!

Igor stanął na najniższym stopniu schodów, które natychmiast usłużnie wniosły go do kabiny pilotów. Igor uśmiechnął się mimo woli. Młodzi piloci nazywali to wejście „królewskim”. Dawniej, gdy załoga składała się z kilku ludzi, oddzielne wejście miało z pewnością sens. Ale teraz? Zresztą wtedy i kabina sterownicza słusznie nosiła swoje miano.

Jak wiele rzeczy w życiu jest względnych i jak długo pozostają w języku słowa, które utraciły swoje pierwotne znaczenie! Igor chyba wybierze lingwistykę jako swoją trzecią specjalność. W ostatnich czasach coraz bardziej interesują go słowa. Czy nie warto porozmawiać o tym z Aleksym?

Loszka? Loszka ma sześć specjalności i gotów jest opanować drugie sześć. Dla innego człowieka byłoby to przejawem lekkomyślności. Ale Aleksy jest wszechstronnie uzdolniony i wszystko mu się udaje. Igor pod tym względem ustępuje swemu przyjacielowi. Opanował zaledwie dwie specjalności, i to dlatego tylko, że nawet wielka namiętność wymaga choćby małego, dodatkowego zainteresowania czymś zupełnie innym. Ludzie od dawien dawna tak postępowali: ktoś był, przypuśćmy, zapalonym chemikiem, pracował z zamiłowaniem, z samozaparciem, a w domu, dla własnej przyjemności, grał na skrzypcach albo malował akwarele, hodował kaktusy, zbierał rzadkie wydawnictwa albo pasjonował się fotografią artystyczną „urywając”, jak piszą w starych powieściach, które tak lubi cyto-

wać Aleksy, „czas” albo „rzadko trafiające się wolne chwile”. Tak, oczywiście, wtedy gdy człowiek zamiast trzech godzin spał całe osiem (w XXI wieku sama myśl o tym wydaje się śmieszna!) i poświęcał swej pierwszej, głównej namietności drugie osiem godzin, będąc w stanie przez ten czas wykonać tylko tyle, na co dziś potrzeba czterech, pięciu godzin, to taka sprawa mogła prawdopodobnie stanowić nie lada problem. Dziś poboczne pasje ludzi przestały być ich sprawą osobistą, przekształciły się w dwie, trzy specjalności, a niektórzy, w rodzaju Aleksego, mają aż sześć takich różnych zamiłowań. I starcza im czasu na wszystko, bez żadnego „urywania” i „wykrawania”.

Czy nie za wiele jednak tego filozofowania. Zdaży przecież zając się wszelkimi rozważaniami siedząc w tak zwanej „kabinie sterowania”. Igor otworzył drzwi.

Jakiś człowiek w niebieskim kombinezonie krzątał „się po kabinie, instalując skrzynkę plastikową z zaokrąglonymi kantami.

— Witam pilota! — powiedział. — Zainstalowałem właśnie nowy przyrząd. Na żądanie Kontroli Bezpieczeństwa Pracy czy też Urzędu Planowania. Tam między nimi powstał jakiś spór.

— A czego się wymaga ode mnie?

— Nie zwracać na to uwagi. Sam nawet nie wiem, co to za przyrząd. Skrzynka jest zaplombowana. Włączyłem przewody według schematu i gotowe. No, to szczęśliwej podróży! — monter żartobliwie machnął ręką.

Igor zajął swoje miejsce. Instrukcja wymagała, aby pilot podczas startu i lądowania nieodzownie znajdował się w kabinie sterowania. Po co? O tym wiedziała tylko Kontrola Bezpieczeństwa Pracy.

Prawie machinalnie obserwował, jak dawano rozkaz startu, jak maszyna odpowiadała — na tablicy zapalały się i gasły lampki, wskazówki przyrządów zajmowały wśród podziałek swoje miejsca. Tylko ukryty w zamkniętym plastikowym futerale zaplombowany przyrząd nie dawał znaku życia.

Silniki zaczęły pracować. Budynek dworca lotniczego za lewym oknem ruszył z miejsca. Drzewa na skraju lotniska zwały się w jedną wstęgę. Krótki, bardzo krótki rozbieg, potężne szarpnięcie — i oto w dole szybko uciekające białe — różowe miasto wśród wzgórz, odcinek trasy prosty jak południk — — znów miasto, ale już znacznie dalej, w ledwo dostrzegalnych zarysach. Zwrot — i statek mknie w górę, ku słońcu, ku gwiazdom, przecina warstwy lekkich chmur, które tylko z dołu wyglądały tak groźnie.

Równie, łagodnie dudnią silniki.

3

Pasażerowie wyciągnęli swoje uniwersalne bloki i zajęli się czytaniem książek, przeglądaniem czasopism, oglądaniem filmów. Od czasu gdy Centralna Biblioteka, Główna Ekspedycja Czasopism i Film Generalny zorganizowały audycje przeznaczone dla indywidualnej obsługi posiadaczy bloków uniwersalnych,

wiele się na świecie zmieniło. Zaledwie przed pięciu laty na półkach samolotów leżały jeszcze prawdziwe książki i pisma, niewielkie biblioteczki o stu lub dwustu tomach. Dziś każdy nosi w kieszeni bibliotekę wyposażoną w dziesiątki milionów tomów z oddziałem pierwodruków i rzadkich rękopisów — każdą książkę można czytać posługując się blokiem uniwersalnym i nie czekając na realizację zamówienia dłużej niż trzy minuty. Nakłady dzienników, sięgające niedawno astronomicznych cyfr, w ostatnich czasach spadły gwałtownie i rozważa się już serio zagadnienie, czy warto je w ogóle drukować i kolportować. W rzeczywistości wystarczy parę egzemplarzy do automatycznego przekazywania odbitek na żądanie posiadaczy bloków uniwersalnych. Tylko poszczególni miłośnicy staroświeckości wolą trzymać pismo w rękach, przewracając „stronice palcami.

Wspaniale została rozwiązana sprawa teatru i kina. Każdą premierę ogląda z reguły parę milionów ludzi bez względu na to, gdzie się w danej chwili znajdują. Można podzielić się swoim zdaniem ze wszystkimi, którzy się tym interesują, lub też odwrotnie, wysłuchać opinii każdego nie wstając z fotela samolotu. I to wcale nie przeszkadza sąsiadom: wystarczy nacisnąć guzik „niema rozmowa” i głos śpiewaka, którego postać widzi się na ekranie bloku uniwersalnego, będzie słyszalny tylko dla ciebie. (A do niedawna ludzie musieli zakładać w tym celu ciężkie słuchawki!)

Tak, technika rozwija się niezwykle szybko. Co będzie za dziesięć, dwadzieścia lat?

...Igor miał dosyć czasu, aby rozmyślać, o czym i ile chciał. Mógł usiąść w wolnym fotelu, wyciągnąć jak wszyscy pasażerowie swój blok uniwersalny i oglądać „Jezioro łabędzie” lub nową sztukę teatralną. Trzeba się tylko dowiedzieć, jakie sztuki dają teraz w różnych teatrach na kuli ziemskiej. Mówią, że najlepsze przedstawienia są w tej chwili w New Yorku, Cambridge i Tambowie.

Jeśli zapragnie, może nacisnąć tylko guziczek „powtórzenie” i przesłuchać zapisane na cienkim metalowym włosku poranne obserwacje meteorologiczne lub przedyskutować swoje myśli, później automatyczna maszyna do pisania wszystko dokładnie przedrukuje. Może wysłuchać dowolnego wykładu, nawet takiego, który był wygłoszony przed tygodniem lub przed rokiem, może zrobić jeszcze tysiąc różnych innych rzeczy.

Nie wolno mu tylko dotykać guziczków na pulpicie sterowania.

Ach, te guziczki, wyśmiewane w pismach humorystycznych, guziczki prześladowające człowieka od najwcześniejszego dzieciństwa do późnej starości! „Precz z guziczkami!” — słuszny postępowy ruch, do niego niewątpliwie należy przyszłość. Igor miał dziś okazję przekonać się, jak łatwo i przyjemnie jest latać nie myśląc o guziczkach. Ale jak wielką miał w tej chwili chęć położyć palce na klawiszach maszyny i poczuć, że ogromny statek podporządkowuje się jego lekkiemu dotknięciu. Niestety, dotykać guzików wolno mu jedynie podczas lotów ćwiczebnych, lotów organizowanych

po to tylko, żeby piloci nie zapomnieli kierować samolotem. A Igor lubił prowadzić maszynę — to właśnie spowodowało, że wybrał zawód kierowcy powietrznych liniowców. Ale mówiąc uczciwie, zawód ten stał się nudny, nie sprawia takiej satysfakcji jak dawniej.

4

Spacerując Igor zatrzymał się przy wejściu do jednego z salonów. W rogu siedział wysoki mężczyzna i patrząc w zadumie na blok uniwersalny, ledwo dostrzegalnie poruszał wargami. Rozmawiał z kimś, a może pracował. Bliżej drzwi paru pasażerów rozmawiało. Dyskusja dotyczyła przede wszystkim zagadnień miejscowych: sprawy ocieplenia Kamczatki przez wykorzystanie ciepła wnętrza Ziemi oraz sprawy jakuckiej kopalni automatycznej.

Dało to okazję rumianemu młodzieńcowi biorącemu udział w rozmowie, do oświadczenia, że wykorzystywanie naturalnych bogactw ziemi jest już przestarzałe. Czas najwyższy zacząć stwarzać sztuczne pokłady rud.

— Nie wystarczają panu zmiany na powierzchni ziemi — uśmiechnął się pewien niemłody pasażer — chciałby pan przekształcić również jej wnętrze?

— A czemuż by nie? — zdziwił się młodzieniec.

Starszy pan zwlekał chwilę z odpowiedzią.

— Rozmawiałem onegdaj z pewnym... hm, też dosyć młodym obywatelem — przy tych słowach uśmiechnął się lekko — i ów młodzieniec wyjaśnił mi,

że człowiek może otrzymywać wszystko, co mu się podoba ze wszystkiego, co mu się podoba. Na przykład ze zwykłego kamienia brukowego — żelazo, złoto albo kiełbasę. W tym celu trzeba po prostu — dosłownie powiedział „po prostu” — rozbić atomy na ich części składowe i z tych części zbudować nowe atomy.

— Fascynująca myśl! — zawołał żywo młodzieniec.

— Wiele jest tych fascynujących pomysłów — uśmiechnął się znowu starszy pan. — Ale pytanie, które z nich należy urzeczywistniać?

— Te, które są najbardziej celowe — wtrącił się nagle pasażer z kąta.

— A co uważać za najbardziej celowe? — zaatakował go natychmiast młodzieniec. — Jakie pan zastosuje kryteria?

— No, na przykład nakłady pracy ludzkiej. To, oczywiście, przede wszystkim. Dalej, nakłady energii. I nie w ogóle, rzecz jasna, ale z uwzględnieniem jej aktualnego bilansu, zasobów surowcowych z danej chwili. Następnie odległość i trudności transportu. I wiele innych rzeczy.

— O... — rzekł z lekkim rozczarowaniem młodzieniec. — Pan, jak widzę, należy do ludzi, którzy wszystko liczą...

— Współpracownik Biura Planowania — przedstawił się pasażer z figlarnym uśmiechem i dorzucił po krótkiej chwili: — Wie pan przecież, że nie skąpimy środków na różne eksperymenty — jak najśmielsze i na wielką skalę. Ale... — popatrzył uważnie na towarzyszy jakby pragnąc się upewnić, czy ich interesuje

ten temat, i ciągnął dalej: — Gdy sprawa dotyczy normalnej eksploatacji, dochodzi do głosu matematyka. Weźcie na przykład zaporę przez Cieśninę Beringa, wraz z jej pompami ciągnącymi wodę z Oceanu Spokojnego do Arktyki. Ze współczesnego punktu widzenia jest to instalacja niezbyt doskonała. Zastanówcie się tylko: dla podtrzymania ciepłego klimatu na półkuli północnej trzeba wydobyć rudę uranową, otrzymać z niej materiał rozszczepialny, dostarczyć do zapory i załadować reaktory. Oczywiście, że prawie wszystko to robi się automatycznie, ale prawie, a nie wszystko. Pod tym względem jakucka kopalnia automatyczna stoi na wyższym poziomie. Raz uruchomiona, będzie pracować pięćdziesiąt jeden lat bez udziału człowieka. A nasz samolot — zakończył niespodziewanie — jest mocno przestarzały.

Młoda dziewczyna o jasnych warkoczach, w lekkiej sukience, przysłuchująca się z uwagą rozmowie, rozejrzała się po wnętrzu salonu.

— Nie mam na myśli wygody pasażerów i wyposażenia technicznego — uśmiechnął się nieznacznie pracownik Biura Planowania. — Ale czy państwo zwrócili kiedy uwagę na pilota?

Igor drgnął mimo woli i cofnął się w głąb korytarza.

— Na pilota? — powtórzyła dziewczyna. W głosie jej zabrzmiało zdziwienie. — Ale przecież pilot siedzi tam gdzieś w swej kabinie. Jest niewidzialny.

— Nie tylko niewidzialny, ale w ogóle beczynny. Jest to jeden z najciekawszych problemów naszego

czasu. Dopóki w powietrzu zachodzą wypadki, które się już kiedyś zdarzały, można spokojnie polegać na maszynie. Ale z chwilą, gdy nastąpi coś nieprzewidzianego, wypadek bez analogii w „pamięci” maszyny, staje się ona bezradna. Z tego powodu leci w niej wykwalifikowany pracownik. Setki pilotów kręci się w powietrzu pełniąc zwykły dyżur zamiast zajmować się twórczą pracą, do której wszyscy mają prawo. Przy tym każdy wypadek ingerowania w pracę maszyny jest rozpatrywany jako wydarzenie nadzwyczajne. We wszystkich maszynach wprowadza się niezbędne ulepszenia, żeby coś podobnego nigdy już nie mogło się powtórzyć. W ten sposób prawdopodobieństwo koniecznych interwencji stale się zmniejsza. I piloci mają coraz mniej roboty. To samo dotyczy naszego pilota. Jest to oczywiście człowiek, który uczciwie służy społeczeństwu, ale my pozbawiamy go naturalnej radości pracy. To jest po prostu okrucieństwo.

— Ale on przecież coś robi — zaprotestowała dziewczyna. — Ten pilot.

— Tak. Czyta, dyktuje, może tworzy poemat. Rozumie się. Ale to nie jest rozwiązanie problemu.

— A jak często zdarza mu się mieć coś do roboty?

— Zrozumiałem z tego tylko jedno — pół żartem, pół serio odezwał się starszy pan — że piloci będą wiecznie odbywać przejażdżki na samolotach. Dlatego, że jeżeli nawet pozostanie prawdopodobieństwo jednego nieszczęśliwego wypadku na dziesięć lat na wszystkich liniach lotniczych, Kontrola Bezpieczeństwa Pracy i tak będzie żądała, aby piloci latali na wszystkich

samolotach. Miałem do czynienia z tą instytucją. Ja ich znam.

— Troszczą się o pasażerów — odparł pracownik Biura Planowania. — I w zasadzie mają słuszość. Zagadnienie jednak...

W tym momencie Igor poczuł trzy lekkie stuknięcia w pierś. Wzywała go maszyna sterownicza. Po raz pierwszy w ciągu ostatnich dwóch lat.

5

Nie było to wezwanie awaryjne. Gdy Igor wszedł do kabiny, zielona lampka sygnalizowała: „Wszystko w porządku”. Igor usiadł w fotelu i uważnie obejrzał tablicę. Niemą mową sygnałów maszyna informowała go o tym, co się stało, i jakie środki zapobiegawcze zostały zastosowane. „Układ chłodzenia” — przeczytał na tablicy. „Nie dochodził płyn ochładzający” — meldowała opadnięta klapka wskaźnika optycznego. „Pompa w porządku” — dziarsko komunikował jego sąsiad. „Uszkodzenie rurociągu” — wnioskowała maszyna. I meldowała: „Układ przedmuchany”. No, z takim drobiazgiem poradziłoby sobie nawet dziecko.

Igor, zagłębiając się w fotelu, zamyślił się głęboko. Trzy lekkie stuknięcia w pierś przywołały go do rzeczywistości. Lampka płonęła pomarańczowym światłem. „Nie dochodzi płyn ochładzający” — przeczytał. A więc zamulenie zostało usunięte tylko chwilowo! Szybko, szybciej niż zrobiłby to człowiek, maszyna zbadała każdy odcinek układu doprowadzającego i

wyciągnęła niespodziewany wniosek: „Wszystko w porządku”. A mimo to sygnał: „Płyn ochładzający nie dochodzi” — płonął jasno w dalszym ciągu. Silniki zakomunikowały: „Przegrzewają się ścianki komory spalania”. — Zabłysnął odpowiedni sygnał na tablicy.

Igor poczuł, że ręce same wyciągają mu się do klawiszów pulpitu sterowania. Ale nie miał prawa interweniować — lampka świeciła pomarańczowym światłem. Maszyna, prędzej niż zrobiłby to Igor, stwierdziła, co można przedsięwziąć w takim przypadku. Zamigotały światelka kontroli przyrządów. Maszyna postanowiła sprawdzić działalność urządzeń sygnalizacyjnych. Zuch maszyna! Słuszna decyzja! Zanim zdążył to pomyśleć, maszyna zbadała już cały układ sygnalizacji. Wszystko w porządku, tylko coś niewyrażonego wynikło ze wskaźnikiem sprawności pompy.

„Niech diabli wezmą ten przyrząd, trzeba włączyć zapasową pompę! — pomyślał Igor podniecony. — Przecież silniki się przegrzewają!...” Podniósł się nawet z fotela... „Włączona pompa zapasowa” — odczytał z ulgą.

Tym razem maszyna powzięła decyzję może o jedną dziesiątą sekundy później niż Igor. Oczywiście musiała przedtem obojętnie i systematycznie rozważyć wszelkie możliwe rozwiązania, porównać je ze sobą i odrzucić wszystkie prócz jednego właściwego. Igorowi zaś przyszło to do głowy od razu, niemal impulsywnie. Niemniej jednak doznał uczucia głębokiej satysfakcji: w gruncie rzeczy odniósł zwycięstwo nad maszyną. Oto, jakie znaczenie ma żywe doświadczenie ludzkie,

może nawet niezupełnie uświadomione, zawarte w komórkach mózgowych i mięśniach ręki, która sama wyciągnęła się w stronę guzika „Pompa zapasowa”. I piloci też się na coś przydają, niech to diabli.

Lampka spokojnie połyskiwała zielonym światłem, a Igor wciąż siedział w fotelu. Silniki dawno zasygnalizowały, że temperatura wróciła do normy. Tablica wyraźnie dawała do poznania, że pilot jest zupełnie w kabinie niepotrzebny.

Ale Igor nie śpieszył się z wyjściem. Przeżył niebywałe uczucie: nie dotknął żadnego guzika, a jednak tak jakby kierował maszyną. Zabawa? Może zabawa! Ale przecież to zabawa w pracę pilota, w pracę, której zakazują mu przepisy służbowe.

Wtem lampka po raz trzeci zapłonęła pomarańczowym światłem. Coś takiego nie zdarzyło się jeszcze ani razu od czasu, jak istnieją powietrzne linie transkontynentalne. Sam ten fakt był już arcyndzwyczajnym wydarzeniem.

Prawdziwe zdumienie jednak ogarnęło pilota dopiero, gdy spojrzął na tablicę. „Uszkodzenie drugiej pompy” — ze spokojem uczonego skonstatował przyrząd. Jak to, druga pompa nie działa? To kiepska sprawa, przecież trzeciej nie ma.

Błysnął ekran manipulatora. Maszyna przystąpiła do naprawy. Igor obserwował na ekranie, jak mechaniczne ręce szybko i zręcznie badały pompę, zamkniętą w tak ciasnej przestrzeni, że nie sięgnęłaby do niej ręka ludzka. Cóż za diabelska historia! Wszystko było w porządku.

„Zdjąć pokrywę!” — omal nie krzyknął Igor, ale mechaniczne palce już ją odkręcały. Dotarły do wnętrza i wykonały wszystko, o czym pomyślał Igor, niemniej jednak uszkodzenie nie zostało usunięte.

„Dolna rura odprowadzająca!” — przemknęło Igorowi przez głowę. Ale spóźnił się — palce zaśrubowały pokrywę z szybkością nieosiągalną dla wzroku i zabrały się do dolnej rury odprowadzającej. Nie poprzestając na tym palce rozebrały, oczyściły i zmontowały z powrotem wszystko, co tylko można było rozsrubować. Maszyna wykonała tysiące zapobiegawczych, być może zupełnie bezużytecznych czynności, a czas mijał...

Igor poczuł, że myśli zaczynają mu się plątać. Co robić? Nagle doznał olśnienia: zanieczyścił się przewód łączący! Ten krótki przewód łączący obie pompy: zasadniczą i zapasową. Przyszło mu to do głowy jedynie dlatego, że kiedyś, grając z kolegą w „zgadywanke logiczną” i używając do tego schematu silnika samolotu, sam wymyślił takie uszkodzenie i kazał partnerowi szukać go według objawów ubocznych. No, a partnerem był wówczas Aleksy! Igor wygrał wtedy jeden punkt. Loszka, sprytny, pojętny Loszka nie mógł się domyślić! Przecież i on wtedy przedmuchał najpierw cały układ ochładzający, a potem dopiero włączył zapasową pompę. I przewód łączący, króciutki, zaledwie parocentymetrowy wężyk pozostał nie przedmuchany.

Maszyna, rzecz jasna, nie mogła znać tego przypadku! Robiła wszystko prócz prostej i jedynej w obecnych warunkach czynności. Wreszcie, wypróbo-

wawszy wszystko, do czego była zdolna, poddała się. Lampka zapłonęła czerwonym światłem awaryjnym.

Czas! Igor pochylił się ku tablicy. Silniki ryczały już niemal histerycznie! I wtenczas usłyszał rozkaz, który zabrzmiał dlań jak huk piorunu:

„Nic nie robić!”

Oszołomiony rozejrzył się dokoła bezradnie.

„Nie interweniować!” — powtórzył głos.

I zaraz potem usłyszał lekkie, prawie niedosłyszalne postukiwanie wewnątrz skrzynki z masy plastikowej, która została zainstalowana w kabinie przed odlotem.

Guziki na stole sterowniczym zaczęły wciskać się same, jakby za dotknięciem palców niewidzialnego człowieka. Ekran zabłysnął znowu. Ktoś powoli, po ludzku szukał uszkodzenia.

Ale przecież ten ktoś nie wie o przewodzie łączącym! To rzecz, którą zna tylko Aleksy. Igor wstał z fotela, lecz znów powstrzymał go rozkaz:

„Nie ruszać się!”

Niewidzialny wiedział o przewodzie łączącym. Włączył przedmuchiwanie i zgodnie z przewidywaniem Igora układ ochładzający zaczął natychmiast działać.

Czas najwyższy! Igor otarł pot z czoła. Jeszcze parę sekund i silniki przestałyby pracować.

Tak, dzisiaj Igor miał dosyć wrażeń!

Posiedział jeszcze czas jakiś, żeby się uspokoić. Wszystko działało normalnie. Wówczas wyszedł z kabiny. Pasażerowie zajmowali się swoimi sprawami, nie podejrzewając nawet, co się rozgrywało przed chwilą w

kabinie sterowania. Wszystko trwało zaledwie siedem minut!

*

— Takie właśnie eksperymenty przeprowadzamy obecnie — mówił pracownik Biura Planowania spoglądając na swych towarzyszy błyszczącymi oczyma. — Oczywiście za całkowitą zgodą Kontroli Bezpieczeństwa Pracy. Ale zdaje się, że lądujemy.

Samolot zniżał się. Igor wrócił do kabiny i znów siedział w niej w królewskiej beczynności, póki koła nie zatrzymały się przed wykreśloną na lotnisku linią i wszystkie drzwi nie otwały się automatycznie.

Wysiadł z samolotu ostatni.

6

Trafił mu się wibrolot starej konstrukcji i mógł sobie używać do woli, naciskając guziczki sterowania. Ale — rzecz dziwna — teraz nie sprawiało mu to przyjemności. Co więcej, uważał trzymanie palców na klawiszach za rzecz uciążliwą. Rankiem mu się lepiej latało. Ręce miał wolne, myśli również, skrzydła podporządkowywały się niemal podświadomym życzeniom. Przypominało to lot w snach. Lot? Tak, rankiem doznawał uczucia lotu. A teraz zwyczajnie zmieniał miejsce w przestrzeni. Zwykła operacja komunikacyjna, którą muszą odbywać wszyscy niemal ludzie Ziemi,

tak samo jak dawniej, gdy, jeżeli wierzyć starym filmom, jeździli do pracy na rowerach.

Aleksy siedział w niewielkim pokoju przed pulpitem sterowania — identyczną kopią tego, przy którym Igor przeżył przed godziną denerwujące chwile. Obok stał jeszcze jeden fotel i jeszcze jeden pulpit.

— Tak teraz latam — rzekł Loszka wskazując ręką na swoje gospodarstwo. — Nie odrywając się od ziemi.

Spojrzał na Igora i roześmiał się.

— Za to pracuję — dodał. — Prowadzę sto samolotów na raz. Czyli, że mam sto razy więcej szans do interweniowania w pracę maszyny niż ty. Dzisiaj wyblażałem jeszcze dziesięć rejsów — z trudem dali się przekonać. Postawili mi zapasowy pulpit. To na wypadek, gdyby zdarzyły się dwa uszkodzenia na raz. Według teorii prawdopodobieństwa...

— Ach, ta teoria! — Igor machnął ręką. — Zapoznałem się z nią dzisiaj w praktyce.

— I twój samolot znalazł się wśród tych dziesięciu. Wyobrażam sobie, jaki byłeś zawiedziony, gdy się okazało, że nie musisz pomagać maszynie! Takich samych uczuć musiał kiedyś doznawać ostatni dorożkarz albo ostatni szofer. Należysz już do przeszłości. Igorku!

— Po prostu lubię latać.

— Któż dziś nie lata? I czym wrażenia pilota różnią się od wrażeń pasażerów? Chcesz mieć prawdziwe przeżycia — chodź pracować ze mną. Co prawda nie będziesz już wtedy latał. W moim zawodzie to już niepotrzebny zbytek. Za to praca interesująca. Weź pod uwagę, że tak czy inaczej na przyszły rok zredukują

wszystkich pilotów. Nawet loty próbne będą się odbywać automatycznie — za pomocą zaprogramowanych urządzeń.

Rudy Loszka śmiał się, nos mu błyszczał, piegi się rozplynęły. Nie uważał za potrzebne wywabiania piegów, nie chciał też zmieniać kształtu uszu — miał uszy odstające, przypominające dłonie przystawione do głowy. Loszka uważał, że może całkowicie być takim, jakim stworzyła go matka natura!

— Przecież masz, chłopie, jeszcze inne specjalności! Możesz wybierać. No, będziesz w końcu latającym biologiem. Przecież twój rezerwat jest przewidziany do badań z powietrza. Mówię ci, że to wcale nie jest takie tragiczne, jak ci się wydaje.

...Rzeczywiście! Cóż się zmieniło na świecie? Uczucia, których doznaje się przy kierowaniu maszyną? Można je spotęgować będąc naziemnym dyżurnym. Lot? Cudowniejszego lotu niż wibrolotem bez tablicy sterowania świat jeszcze nie widział.

Romantyka? Tak, bez romantyki ani rusz! Ale kryje się ona w każdej pracy. To, co robi Loszka, też jest romantyczne, chociaż Loszka się do tego nie przyznaje.

*

Igor wyszedł na ulicę i wezwał wibrolot. Podbiegł stary, naiwny, romantyczny wibrolot z guziczkami gestonatkany na maleńkim pulpicie. Igor miał ochotę podrapać go za uszami, jak robił w dzieciństwie ze

swoim osiołkiem. Osiołek Waśka i kałuża pełna kijanek odegrały dużą rolę w jego zamiłowaniach do biologii.

Usiadł w fotelu i położył palce na klawiszach.

— Leć! — rozkazał.

Fotel ani drgnął.

Wtedy nacisnął guziczek — mały, obluźniony — wgniótł go z łatwością. Za plecami Igora rozwinęły się skrzydła i wibrolot pofrunął.

Niebiańska kula

1

Ze strachu Loo stanął na czworakach. Wiedział dobrze, że za to grozi kara wygnania z plemienia. Ale gdy prosto z nieba wystrzelił jaskrawy promień i wyłoniwszy się z obłoków wparł w zbocze wzgórza, Loo zapomniał o wszystkich zakazach, nogi się pod nim ugięły i opadł na czworaki.

Huk, który rozległ się w całej okolicy, był potężniejszy niż odgłos gromu, który Loo kiedykolwiek słyszał. Gdy Loo, zmagając się z przerażeniem, podniósł w górę głowę, zobaczył, że prosto z obłoków na suchy wierzchołek wzgórza opuściło się coś wielkiego, lśniącego, gorejącego ogniem.

Więcej Loo nie widział. Cofnął się, póki zarośla nie zasłoniły mu straszego obrazu. Pełzał, zapomniawszy, że umie chodzić i że na dwóch nogach poruszać się można łatwiej i prędzej.

Opamiętał się dopiero, gdy pośliznął się na zboczu wilgotnym po deszczu i stoczył w wodę.

Parskając popłynął w stronę odległego przylądka. Wszyscy krewniacy Loo równie dobrze pływali, jak chodzili. Inaczej trudno by im było poruszać się w kraju ojczystym, w którym woda, lejąca się z góry, i woda chlupocząca pod nogami była jak gdyby zasadniczym żywołem. Gęste, nieprzebyte zarośla, ciągnące się bez

końca stanowiły tak trudną do pokonania przeszkodę, że gdy trzeba było wędrować szybko i daleko, Loo wybierał zawsze drogę wodną. Przepłynął jezioro, wyszedł na brzeg i wstrząsnął ciałem tak, że woda prysnęła na wszystkie strony z gęstej sierści. Do Wielkich Jaskiń musiał iść długo, okrężną drogą, i podczas wędrówki przez zarośla zdołał się trochę uspokoić. Trudno powiedzieć, co go najwięcej oszołomiło w zdarzeniu, które przed chwilą przeżył. Widowisko było przerażające, przede wszystkim dlatego, że zupełnie niepojęte. Oczywiście, że straszne są pioruny i straszne są błyskawice, ale to wszystko jest zrozumiałe. To niebiańscy kou gniewają się i kłócą między sobą o zdobycz. Należy tylko wystrzegać się, by nie wpaść pod rękę rozzłoszczonym kou. Zwykle najstarszy z nich wtrąca się i zaprowadza porządek. Kou pomruczą trochę i uspokoją się. Ale stary Chc mówi, że niebiańscy kou są niewidzialni. Mieszkają wysoko nad obłokami i nigdy nie schodzą na ziemię.

Tylko czasem zrzucają stamtąd resztki swego pożywienia. Lud Loo zbierał te ogryzki i troskliwie przechowywał w Świętej Jaskini — ciężkie, chropawe kawałki. To, czego nie rozgryzły zęby niebiańskich kou, było twardsze od skały. Tylko jeden kamień — tałachu — można pod względem twardości porównać z ogryzkiem niebiańskich kou. Z tałachu najlepsi myśliwi robią groty „latających żadeł”.

Ale niebiańscy kou nigdy nie porzucali swych mieszkań w obłokach i nie spuszczali się do dwunożnych.

Stary Chc mówi, że to się nigdy nie zdarzyło.

Ale gdyby zdecydowali się na to, to wyglądałby chyba tak, jak widział Loo.

Loo aż podskoczył, tak go uderzyła ta myśl. O, nie darmo Loo jest uważany za jednego z najmędrszych w swoim pleminiu.

Pobiegł szybko, aby zawiadomić o swym odkryciu.

2

Ngarroba w niebieskim skafandrze biegł rozstawiając szeroko nogi, żeby nie przewrócić się w rzadkie błoto, ale odległość między nim a tautolonem wciąż się zmniejszała.

Niezgrabne zwierzę kołyszące się na tylnych nogach jak kaczka, wyglądałoby bardzo śmiesznie, jeżeli oglądałoby się je w innych okolicznościach.

Wielkością i kształtem przypominało trochę dźwig na budowie dwu-trzypiętrowego domu, gdyby dźwig wpadł nagle na pomysł, żeby sobie poskakać. Ciężki kadłub wspierał się na potężnych łapach i ogonie grubości pnia solidnego drzewa. Ku górze tułów stawał się stopniowo cieńszy i prawie bez ramion przechodził w długą, zwężającą się szyję. Szyja kończyła się aż śmiesznie małą główką, przypominającą głowę węża. W górnej części tułowia zwisały słabe łapy przednie, bezradnie kiwające się do taktu skokom.

Karbyszew szybkim ruchem szarpnął pneumatyczną klapę kieszeni. Oczywiście, zabranie jednego pistoletu na czterech ludzi było niewybaczalną lekko-

myślnością. Ale przecież poprzednia wyprawa na Wenus obeszała się, jak wiadomo, bez broni. A teraz Karbyszew myślał z niepokojem, czy zdąży wyciągnąć pistolet, zanim tautolon dopędzi wiceprezesa Afrykańskiej Akademii Nauk i co się stanie, jeżeli nie zdąży.

Ngarroba przewrócił się w tej samej chwili, gdy Karbyszew pociągnął za cyngiel. Szafirowa błyskawica mignęła, musnąwszy rude cielsko o gładkiej, jakby gumowej skórze. Tautolon upadł — jego zad razem z podpierającymi go nogami i ogonem znieruchomiał jak sparaliżowany, a część tułowia wraz z szyją i głową runęła na ziemię.

Teraz dopiero Gargi i Sun Lin mogli przystąpić do dzieła. Gargi, zgrabny i elegancki nawet w swoim złotym skafandrze, podbiegł szybko do Ngarroby. Sun Lin pomógł mu podnieść głowę Afrykańczyka. Przez przejrzysty hełm widać było poszarzałą twarz Ngarroby. Ngarroba poruszał wargami, ale nie można było zrozumieć, co mówi. Ktoś wreszcie domyślił się wyprostować pociętą antenę na hełmie.

Krewki Afrykańczyk odzyskał dar mowy.

— Co się temu bydlakowi stało? — krzyknął, rozglądając się na wszystkie strony. — Wściekł się czy co?

— Ale co to właściwie było? — zapytał Sun Lin. — Wyłoniłeś się z zarośli zupełnie niespodziewanie. I natchmiast wyskoczyło to dziwo i popędziło za tobą. Czyś go w jakiś sposób rozdrażnił?

— Po cóż miałbym drażnić to głupie stworzenie — mruknął Ngarroba. Dłonią w rękawiczce przekręcił

kranik pod hełmem i pociągnął łyk koniaku. — Wiecie przecież, że ta machina ma zaledwie okruszynę mózgu. Ale z drugiej strony cały świat wie — jest to wydrukowane w pracach wszystkich poprzednich ekspedycji na Wenus, że tautolony nigdy nie atakują człowieka.

— Możliwe, że ten tautolon nigdy nie czytał rozpraw naukowych ekspedycji ziemskich — zauważył Gargi. — Nie trafiły mu po prostu do rąk.

— Ale jak się to w końcu stało? — łagodnie, ale stanowczo przypomniał Sun Lin.

Ngarroba podniósł się i zrobił bezwiedny ruch ręką, jakby chciał otrzeć pot z czoła. Rzucił spojrzenie na nieruchome ciało rudego potwora.

— Zbliżam się do jeziora — zaczął. — Najzwyczajniejsze jezioro. I widzę obraz typowy dla tej planety, w każdym bądź razie dla jej zbadanej części. Z wody w różnej odległości od brzegu sterczą pęki słynnej olbrzymiej lilii wodnej Wenus i wśród nich dwie czy trzy głowy tych stworów (Afrykańczyk zdecydowanie nie miał chęci wymienić właściwej nazwy tautolona). Wiecie przecież, że te kroczące koparki swobodnie wałęsają się po bagnach, a ich najulubieńszym zajęciem jest siedzieć na dnie jeziora wysunawszy na powierzchnię swoją głupią główkę. Takie, można powiedzieć, kolosy, a żywią się samym drobiazgiem — skorupiakami, żukami i tym podobnym świństwem.

— Podziękuj im, że nie jadają podróżników — wtrącił Karbyszew. — I w ogóle to nie najgorzej, że nie

ma tu ani olbrzymich krokodyli, ani szablozębnych tygrysów, ani innych wielkich drapieżników.

— Ma się rozumieć. Okazuje się jednak, że pozeracze raczków też mogą być niebezpieczni. Tak samo, jak na przykład traktor, gdyby dostał bzika.

— Dalej — cierpliwie ponaglał Sun Lin.

— Podziwiam spokojnie ten widok. Wtem wprost nade mną zjawia się głowa tej przyjemnej kruszynki, krzaki rozsuwają się pod ciężarem jej cielska. A ja należę do tych, którzy czytali prace naukowe o wyniku wszystkich siedmiu wypraw na Wenus, i wiem dobrze, że tautolony (uczony po raz pierwszy wymówił to słowo) są najłagodniejszymi stworzeniami na świecie. Dlatego bez namysłu odsunąłem się ze dwadzieścia kroków w bok — akurat była tam maleńka polanka — i prowadziłem w dalszym ciągu obserwacje. I wtedy ta ślicznotka — Ngarroba odzyskał wreszcie całkowitą równowagę — była łaskawa spojrzeć w dół ze swojej czteropiętrowej wysokości i rzuciła się na mnie, jakbym był ślimakiem lub żukiem.

— Ta paszcza — pokręcił głową Karbyszew — nie jest w stanie chwycić takiego mężczyzny jak ty, nawet jeżeli tautolon uznałby cię za odpowiednią przekąskę.

— Kto wie, co mu do łba strzeliło. Mógł mnie po prostu rozdeptać i nawet tego nie zauważyć. Czy słyszeliście kiedykolwiek, żeby tautolony biegały tak prędko? Wiecie przecież, że należę do niezłych biegaczy na średnich dystansach. A dziś zdobyłem rekord — co prawda tu jest trochę mniejsze przyciąganie niż na Ziemi, więc i tak by mi nie zaliczono. Ale ten leni-

wiec — Ngarroba kopnął tautolona w bok — biega, jak się okazuje, jeszcze prędzej.

— Tylko on wie, co mu się przydarzyło — rzekł Gargi z zadumą. — Kiedy się ocknie?

Karbyszew spojrzał na zegarek wprawiony w rękaw pomarańczowego skafandra.

— Wpakowałem mu cały ładunek. Powinno wystarczyć na trzy takie zwierzaki. Ale sądzą, że szok ustąpi za jakieś dziesięć minut i będziecie mogli przeprowadzić z nim wywiad.

— Może lepiej oddalić się trochę i rozmawiać z nim na migi? — zaproponował Gargi. — Starczy na dziś jednej przygody. Nasza wyprawa przecież się dopiero zaczyna... To był jednak zabawny widok — roześmiał się nagle. — Olbrzymi zwierz pędzi na złamanie karku z wyciągniętą szyją, przewalając się z boku na bok i umyka jakby go kto gonił, A nasz przyjaciel Ngarroba na czele.

— Umyka? — powtórzył powoli Sun Lin. — Wiecie, że to myśl. Może on rzeczywiście nie miał zamiaru nikogo atakować.

— Ale rzucił się przecież w moją stronę! — zawołał porywczo Afrykańczyk. — Chociaż mu nie stałem na drodze.

— Mówiłeś, że wyszedłeś na polankę? Tautolon skierował się na nią również. Uciekał przed czymś, kryjącym się w zaroślach. Acha, przychodzi do siebie!

Drżenie przebiegło całe ciało rozplaszczzonego w błocie zwierzęcia. Potem mała główka uniosła się nieco i zrobiła parę niepewnych ruchów z boku na bok. Szy-

ja drgnęła parę razy konwulsyjnie i nagle wyprężyla się, jakby ją napompowano powietrzem. Przypominające oklapły balon ciało ożywało i odzyskiwało straconą sprężystość.

Czterech ludzi w skafandrach uważnie obserwowało zwierzę.

— Cóż go tak przestraszyło? — w zamyśleniu odezwał się Karbyszew. — Przecież zdaniem poprzednich ekspedycji na Wenus nie ma zwierząt drapieżnych. Cóż więc mogło przerazić takiego kolosa?

Gargi wzruszył ramionami.

— Znajdujemy się na zupełnie niezbadanym lądzie. Ale co on robi? Ngarroba!

— Dokąd? Stój! — krzyknął Karbyszew.

Ale Afrykańczyk pędził już co tchu w stronę tautolona.

Zwierzę kołysało się na tylnych łapach, potężnych i sprężystych jak resory stutonowego wagonu. Zaraz skoczy!

— No, taka brawura jest już do niczego nie podobna! — Gargi zbladł.

Karbyszew szybko wsunął rękę do kieszeni szukając zapasowego ładunku. Podczas rozmowy zapomniał, że pistolet jest zupełnie rozładowany.

Ale nikt nie zdążył nic zrobić.

Postać w niebieskim skafandrze wskoczyła prosto na ogon odzyskującego pełnię sił kolosa, u samej nasady, w miejscu, gdzie grubość ogona miała objętość beczki. Ngarroba sięgnął ręką w górę, jakby chciał pogłaskać czy poklepać zwierzę po grzbiecie. W następ-

nej chwili tautolon podrzucił zadem z taką siłą, że Ngarroba odleciał z piętnaście kroków i pacnął plecami w głęboką kałużę.

Przewalając się z boku na bok olbrzym biegł truchcikiem do jeziora przeświecającego wśród gęstej pokrywy chmur.

— Teraz rozumiem, dlaczego tautolon cię gonił — mówił Hindus wchodząc po kolana w błoto, aby pomóc Afrykańczykowi. — Tyś pierwszy zaczepił tego biedaka! No, podeprzyj się tym kijem, skąd go wzięłeś? O tak! Nie dam rady wyciągnąć cię sam.

— Wytrzym mu hełm — powiedział Karbyszew.

Gdy otarli z błota zavalaną przezroczystą kulę okrywającą głowę Ngarroby, w głębi hełmu zaśniły białe zęby, po czym ukazała się cała twarz wiceprezesa Afrykańskiej Akademii Nauk, rozjaśniona takim radosnym i tryumfalnym uśmiechem, jakiego towarzysze nigdy dotąd na niej nie widzieli.

Umorusany od stóp do głów Ngarroba trzymał wciąż w ręku swój „kij” — cienki, długości półtora metra pręt, przypominający trzcinkę lub bambus.

— Gdybym w ostatniej chwili nie wyciągnął tej rzeczy z grzbietu mojej przyjaciółki, to zabrałaby ją ze sobą. Dlatego musiałem działać tak prędko.

— To podobne do igły — powiedział Gargi. — Czy spotykaliście już kolec takiej wielkości?

— Nie — odparł Sun Lin. — Żaden opis flory Wenus nie wspomina o niczym w tym rodzaju.

— A więc nowe odkrycie?

— I to jakie! — wykrzyknął nagle Karbyszew. Wyglądał na wstrząśniętego. — Spójrzcie uważnie!

— Nie rozumiem — wzruszył ramionami Gargi.

— Weź to do ręki!

Gargi wziął „kij”, który mu podał Ngarroba, i przeciągnął dwoma palcami wzdłuż. Palce jego zatrzymały się na niewielkim występie. Dalej „kij” zwęzał się, kończąc bardzo twardym grotem.

— To jest... to... — zaczął się jąkać z przejęcia.

— Dziryt — powiedział Sun Lin. Jego oczy błyszczały pod przezroczystym kołpakiem hełmu.

— To dopiero odkrycie! — krzyknął Ngarroba o mało nie podskakując z radości. — Nie nadaremnie dwa razy wytarzałem się w błocie... Cóż za szczęśliwy traf, że wszedłem w drogę temu bydłociu!

— Tak, przyjaciele — powiedział Karbyszew uroczyście — nasza wyprawa znalazła prawdopodobnie pierwszy dowód istnienia na Wenus mieszkańców, obdarzonych rozumem.

— Znajdujących się już na takim stopniu rozwoju, że umieją się posługiwać najprostszym rodzajem broni — zakończył Gargi.

— Miejmy nadzieję, że do polowania. — Sun Lin wziął dziryt z ręki Gargi i uważnie obejrzał grot.

Podróżnicy popatrzyli na siebie.

— Nabij w końcu swój pistolet! — powiedział Gargi.

— Elektropistolet, jak wiecie — oświadczył Karbyszew — jest narzędziem samoobrony i dlatego działa tylko na bardzo bliską odległość.

Niemniej jednak wyjął niewielki nabój i założył go do pistoletu. Ngarroba wyciągnął rękę po dziryt.

— Daj no mi go!

Potrzymał dziryt w ręce, przyjmując taką postawę, jakby miał zamiar nim cisnąć.

— Myślę, przyjaciele, że przy pomocy tej zabawki żadnemu z nas nie udałoby się przebić takiego opancerzenia jak skóra tautolona.

— A nasze skafandry można nim przekłuć bez trudu — oświadczył Sun Lin. — Oczywiście ich lekka tkanina ochroni nas przed żądłami wszelkich drobnych stworzeń nie gorzej niż gruba skóra tautolona. Jesteśmy świetnie zabezpieczeni przed atakiem najgroźniejszego wroga — przed bakteriami. Ale przed dzirytem...

Ngarroba poruszył ramionami, jakby coś dotknęło jego skóry między łopatkami.

Karbyszew doznał nagłej potrzeby odwrócenia się. Za nimi nie było nikogo. Tylko wśród zarośli, w odległości mniej więcej pięćdziesięciu kroków zakołysały się dwa czy trzy cienkie pnie.

Gargi podszedł do drzewa przypominającego olbrzymi koper. Było ono pozbawione liści, pień porastały gęste, krótkie igły.

— W żaden sposób nie mogę się przyzwyczać do tutejszej flory — rzekł Hindus — chociaż rozumiem, że roślinność rozwija się tu tak szybko skutkiem nadmiaru dwutlenku węgla w atmosferze. Chciałbym wiedzieć, z czego oni wyrabiają te dziryty? Wątpię, czy z

tego drzewa. Chociaż, jeżeli ściąć pręty z samego czubka...

— Z czego jest zrobione drzewce, potrafimy we właściwym czasie określić — skonstatował Sun Lin. — Ważniejsze jest pochodzenie kamienia na grocie. Nie znam tego gatunku.

— Tu w ogóle nie ma gór ani skał występujących na powierzchni. Spójrzcie tylko!

Dokoła rozciągała się płaska równina, pokryta jeziorami wypełnionymi wodą po same brzegi. Z zachodu widok ograniczał gęsty las, przypominający z daleka gęste zasieki z drutu kolczastego. Nad zwartą, siną gęstwiną wznosiły się pojedyncze olbrzymy z gałęziami rozchodzącymi się jak rozcapierzone palce. Każdy palec kończył się nowym pękiem gałęzi.

Na wschodzie widać było parę niewielkich wzgórz o łagodnych rozmytych stokach.

Podróżnicy zrobili zdjęcie fotograficzne i skierowali się ku rakiemie.

Rozmowa powracała wciąż do dziryty i możliwego spotkania z ludźmi Wenus. Jak ono się skończy?

— Ścisłe mówiąc — powiedział Ngarroba — mamy również broń — zacisnął dziryty w ręce — taką samą jak oni.

— Po pierwsze nasza broń jest w liczbie pojedynczej — sprostował Gargi.

— A po drugie nie użyjesz jej — stwierdził Sun Lin.

— Tak, to prawda — zgodził się wiceprezes Afrykańskiej Akademii Nauk — chyba w ostateczności.

Karbyszew wyjął nabity pistolet i zaczął przy nim manipulować.

— Zmniejszasz ładunek?

— Nie mam przecież zamiaru ich zabijać, — — wzruszył ramionami Karbyszew. — Jak sądzicie, wystarczy dwudziesta część tego, co dostał tautolon?

— To porcja dla byka.

— Nie wiadomo, może człowiek Wenus jest silniejszy od byka.

— Trzeba czym prędzej zbadać tę część planety! Wszystkie dotychczasowe wyprawy lądowały głównie w strefie równikowej lub przy biegunach. A w środkowych szerokościach lądowano tylko dwukrotnie. Przy tym szósta ekspedycja była nieudana. Musieli wrócić przedwcześnie z powodu choroby Thompsona.

— Odpoczniemy w bazie — i w drogę!

— Jeden z nas — oświadczył Karbyszew — musi pozostać w rakiecie.

— Byle nie ja — powiedział szybko Ngarroba.

— Jak komu szczęście dopisze. Będziemy ciągnąć losy.

— Rzeczywiście, komu szczęście dopisze — zaśmiał się Sun Lin. — Czy tym, którzy pójdą jako patrol zwiadowczy, czy temu, który być może zawiezie na Ziemię wiadomość, że patrol zaginął.

— Rakietę trzeba będzie przygotować do startu. Tak żeby mógł ją uruchomić jeden człowiek — rzekł Karbyszew.

— Interesująca jest, niech to licha, ta ósma wyprawa! — Twarz Ngarroby promieniała. — Wiecie, o

mało nie wziąłem udziału w siódmej. Ale utknąłem na Marsie i zagwarantowano mi miejsce w ósmej. A tak się wtedy martwiłem: mieliśmy uszkodzenie w rakiecie. Póki przysłano nam zapasową, ekspedycja na Wenus już wyruszyła. Jednak wciąż jeszcze jesteśmy uzależnieni od astronomów i ich wyliczeń.

— Tak, na razie nie ma regularnej komunikacji z planetami.

— Na Księżyc czynny jest stały most raketowy.

— No, na Księżyc...

Rozmawiając w ten sposób, maszerowali po śliskiej, rozłazącej się pod stopami glebie, okrążając jeziora, jeziorka i niekończące się jezory zatoczek. Płytkie kałuże pełne były wszelakich istot żyjących, przypominających to żywe szpilki, to pływający śrut, to zielone płatki śniegu.

Po sześciu godzinach znaleźli się u podnóża pagórka, gdzie na wysuniętych z kadłuba nogach stała w poziomej pozycji rakietka.

— Odpoczynek — zarządził Karbyszew. W rakiecie było sucho i wygodnie. Podróżnicy z zadowoleniem zdjęli skafandry i ułożyli się w miękkich fotelach, przekształconych bez trudu w łóżka.

„Rankiem” — według zegarów ziemskich wskazujących czas w rakiecie — po śniadaniu nadszedł czas na rozstrzygnięcie, kto weźmie udział w patrolu.

Ngarroba denerwował się tak, że przykro było na niego patrzeć.

— Twój temperament — powiedział Gargi — to jakiś przeżytek przeszłości.

— Sądzę — zaprotestował szybko afrykański uczoney — że ludzie będą się denerwować i za tysiąc lat. Inaczej nie warto byłoby żyć. Nie wierzę w beznamiętnych ludzi.

— Ty, Gargi, również się denerwujesz — stwierdził Karbyszew.

— A spokój Sun Lina to tylko umiejętność panowania nad sobą — natychmiast odparował Hindus. — Któż z nas się nie denerwuje? Może ty?

— Pierwszy raz mam się spotkać z istotami rozumnymi z innej planety — odparł Karbyszew. — Wolno czuć się zdenerwowanym. A więc tak — kto wyrzuci więcej oczek, pójdzie na patrol. Rzucam pierwszy.

Wyjął pożąłką kostkę, kość do gry używaną w starożytnym Rzymie — przedmiot muzealny, który podarowała mu na pamiątkę córka.

— Cztery — oznajmił Sun Lin patrząc na kostkę, która się ku niemu potoczyła.

Ngarroba długo trząsał kostkę w dłoni zanim rzucił ją na gładki stół.

— Pięć! — wykrzyknął. — Pięć! Chińczyk rzucił kostkę. Wypadła trójka.

— No cóż — Gargi wyciągnął rękę. — Mam jednak dwie szansę na trzy. Tak w każdym bądź razie mówi teoria prawdopodobieństwa. Ech!

— Dwójka — skonstatował chłodno Sun Lin. — Teoria prawdopodobieństwa ma znaczenie tylko przy większej liczbie rzutów.

— Jakie instrukcje? — zapytał pokornie Gargi.

— Nie odchodź od rakiety dalej niż na dziesięć kroków.

— Przecież jej nie ukradną!

— Jej — nie. Ale ciebie mogą. Przy najmniejszym podejrzanym zjawisku ukrywasz się w rakiecie i obserwujesz. Radar jest uszkodzony, więc musisz posługiwać się iluminatorem. Szczerze mówiąc, nie wylądowaliśmy zbyt pomyślnie. Czas akcji patrolu — dwadzieścia cztery godziny. Jeżeli nie wrócimy, nie opuszczaj rakiety. Czekasz jeszcze dwanaście godzin. Musisz wówczas zachować wyjątkową ostrożność. Po następnych dwunastu godzinach odlatujesz na Ziemię.

W ciągu paru najbliższych godzin podróżnicy przygotowywali rakiety do startu. Ngarroba włączał i wyłączał lewary uruchamiające „nogi”, póki rakietę nie przyjęła pochyłej pozycji, Gargi pracował przy maszynie do liczenia. Sun Lin zakładał program urządzeniom sterowania.

— Guzik naciśniesz według tego zegara — powiedział wreszcie. — Włączyć na pięć minut przed czasem. Start będzie automatyczny. To pewniejsze. Nie ruszaj nic, póki nie zaczną dochodzić sygnały z Ziemi. To nastąpi dopiero za trzy dni. Wówczas zaczniesz nadawać komunikaty na ziemię. Przedtem i tak nie będzie łączności radiowej. Przeszkadza Słońce i...

— Wiem.

— Muszę jednak cię poinstruować. Za przyciśnięciem tego guzika wszystko, co powiedziałem, może być powtórzone, ile razy zechcesz.

— To też wiem.

— No, to doskonale. Życzę ci pomyślnego dyżuru!

— Początek pracy patrolu za pół godziny — uprzedził Karbyszew spoglądając na zegar ścienny. — Wkładać skafandry!

Uczestnicy wyprawy przechodzili jeden za drugim do kabiny przepustowej, wkładali skafandry i przez otwór w ścianie, po wciąganej drabinie wydostawali się na zewnątrz.

— Sprawdźmy zegarki — zaproponował Karbyszew. — Według zegara startowego.

— W drogę!

Krótki uścisk dłoni i trzy postacie w skafandrach zachlupotały po błocie. Czwarta pozostała przy zadartym w górę kadłubie rakiety.

3

— Niebiańscy kou, niebiańscy kou! — krzyczał Loo podbiegając do Wielkich Jaskiń. — Niebiańscy kou sfrunęli obok Dzikiej Wody!

Wtem zauważył, że wszyscy milczą i ze strachem patrzą na starego Chc. Plemię zgromadziło się w komplecie. Tylko dwie czy trzy osoby zwróciły głowę w stronę krzyżącego Loo, ale zaraz znów skierowały wzrok na wodza. Chc przemawiał potrząsając rękami.

— To byli dwunożni! Z okrągłymi głowami i gładką skórą taką jak mają kulu. Drobny, słaby lud, tylko jeden był słusznego wzrostu, ale też mniejszy od wielu z naszego plemienia.

Chc pokazał ręką, jakiego wzrostu byli ci okrągłogłowi. Podniósł z ziemi okrągły, zielony owoc tagu i wytłumaczył, że takie głowy miały te dziwne stworzenia. Wątpliwe, aby umiały dobrze pływać. Mają nogi o małych, zupełnie małych stopach, proste i grube jak pnie.

Chc dał zgromadzonym do zrozumienia, że istoty, które „widział, znajdują się na bardzo niskim stopniu rozwoju, znacznie niższym niż dwunożni ze stada Cho, którzy nie umieją robić „żadeł latających”, i z tego powodu nie mogą polować na kulu, tylko żywią się tym, co zbiorą w lesie.

— Źle chodzą — powiedział Chc.

Widział, jak się przewracali na równej drodze. Nawet (w głosie Chc zabrzmiała głęboka pogarda) stają na czworakach i czołgają się, jakby nie byli dwunożnymi. Sam widział. A jednak są to chyba dwunożni, tylko zupełnie dzicy. Ukradli „żadło latające” wyrwawszy je z cielska kulu. Tak kręcili swoimi głowami (Chc gestami przedstawił zachowanie się dziwnych istot), że chociaż Chc nie mógł wiedzieć, o czym mówią, zrozumiał jednak, że byli strasznie zdziwieni. To znaczy, że nie umieją robić „żadeł latających”.

— Ha! — rozległ się w tłumie okrzyk pogardy.

— Wiecie, że nasze plemię jest najsilniejsze — ciągnął zachęcony Chc — najmężniejsze, najsprytniejsze...

Gestykulował, bił się w pierś, przybierał pozy obrażające siłę, męstwo, spryt.

— Nikt nie wie, skąd się zjawili ci dzicy, okrągłogłowi. Wtedy, jakby popchnęła go jakaś siła, Loo przedarł się naprzód. Już podczas opowiadania starego Chc o dziwnych przybyszach Loo przestępował z nogi na nogę. Tyle wydarzeń od razu! Gdy wódz z oburzeniem powiedział, że okrągłogłowi łażą na czworakach, Loo schował się za plecami współplemieńców — przypomniał sobie, że przekroczył zakaz. Ale dalsze słowa wodza spowodowały, że o tym zapomniał. Gdy wódz oznajmił, iż nie wie, skąd się wzięli przybysze, Loo wybiegł naprzód.

— Niebiańscy kou — wyjąkał — niebiańscy kou. On, Loo, widział, jak coś sfrunęło z chmur.

Loo mówił źle — nie dorównywał staremu, który znał wiele słów i umiał gestami pokazać to, co trudno wyrazić słowami.

Myśli rozpieły głowę Loo. Nigdy jeszcze tak dużo nie myślał. Chciał powiedzieć... Co chciał powiedzieć? Sam nie wiedział, co chciał powiedzieć.

Machał rękami i powtarzał:

— Niebiańscy kou.

Dreptał na miejscu, obrzucając współplemieńców błagalnymi i gorącymi spojrzeniami.

W pierwszej chwili wszyscy w milczeniu czekali na jego słowa. Lecz potem wódz podniósł rękę i zaczął bić się w piersi.

— Chc wie, co trzeba zrobić! — krzyczał. — Chc wie! Słuchajcie Chc!

Poruszać się w pochyło stojącej rakiecie było niewygodnie, chociaż meble i część podłogi automatycznie przyjęły pozycję poziomą. Trzeba było wciąż przełazić przez progi, które powstały wewnątrz pomieszczenia.

Na horyzoncie — lekko falistej linii z niewielkimi wypukłościami pagórków, Gargi nie dostrzegał nikogo. Najgorsze było to, że patrolu nie można było uprzedzić drogą radiową. Ścianki rakiety nie przepuszczały fal radiowych, a antena zewnętrzna była już nastrojona na przyjmowanie sygnałów z Ziemi. Według instrukcji nie wolno było dotykać tej instalacji i w ogóle zmieniać czegokolwiek w przygotowanej do startu rakiecie. Oczywiście instrukcja zakładała, że załoga w tym momencie znajduje się już w rakiecie i nie opuszcza jej. Widocznie jednak albo instrukcja, albo budowa rakiety musiała być trochę przestarzała.

Gargi z dziesięć minut wpatrywał się w znaną już aż do uprzykrzenia linię horyzontu, po czym powrócił na swój główny punkt obserwacyjny. Z fotela widział przez iluminator bure zbocze wzgórza usiane dwoma lub trzema dziesiątkami dzirytów. Można było zebrać niezłą kolekcję dla muzeum, gdyby tylko Gargi mógł wyjść na zewnątrz. Oblężenie trwało już dobre dwie godziny.

Prawdopodobnie istoty kryjące się w zaroślach otaczających płaszczyznę, na której stała rakietka, uważały ją za tautolona jakiegoś nieznanego gatunku. Ludzi Wenus nie tak łatwo przerazić rozmiarami — są

przyzwyczajeni do olbrzymów świata roślinnego i zwierzęcego. I umieli sobie poradzić z tautolonami, zasypując je chmurą dziryków.

Oczywiście kamienne groty nie przebija powłoki rakiety. Dzirypy odbijają się od jej powierzchni zadziwiająco zapewne myśliwych. Ale... Gargi spojrzął na zegar. Patrol powinien był wrócić już przed godziną. Gargi znowu przeszedł do okna po przeciwległej stronie. Obserwacje, które robił ze swego fotela, miały z pewnością wielkie znaczenie naukowe — niemniej jednak nie mógł zapominać o swym najważniejszym obowiązku — posterunku strażniczym.

Zbocze wzgórza było z tej strony całkiem nagie, aż po widnokrąg ciągnęła się zupełnie odsłonięta przestrzeń. Tak, z tej strony niepodobna zbliżyć się nieopatrzenie do rakiety.

A może ludzie Wenus już się spotkali z patrolem i przyszedli tu po starciu z nimi? — pomyślał Gargi.

Powiedział to na głos. W ciągu ostatnich godzin mówił cały czas głośno, komentując każdy swój krok, wypowiadając każdą myśl — to wszystko powinno zostać utrwalone na taśmie dźwiękowej. Dla dziennika podróży.

Nagle drgnął. Na horyzoncie ukazała się ciemna postać. Gargi zmienił nastawienie iluminatora na ostrość. Postać zbliżyła się, ale nie można było jej rozpoznać. Z dziesięć minut majaczyła w oddali, potem nagle zniknęła. Co się z nią stało? Czy człowiek wpadł w jakąś szczelinę? Czy też stoczył się po śliskim zbo-

czu do parowu? Gargi czekał, ale człowiek się nie ukazywał.

Za to na horyzoncie zarysowała się nowa sylwetka. Niebieski skafander! Ngarroba? A więc ten pierwszy to był Sun Lin? Ma czarny skafander. Gdzież jest Karbyszew?

Ngarroba wędrował samotnie po usianej drobnymi kępkami płaszczynie. Gargi widział, jak okrążał niewielkie jeziorka. Dojrzał już nawet dziryt, który Afrykańczyk zabrał ze sobą. Nagle Ngarroba zniknął.

Gdzież oni giną? Gargi usiłował dojrzeć, co się znajduje na drodze zwiadowców. Ale wtem w polu jego widzenia ukazał się znów ten pierwszy. Zjawił się w tym miejscu, w którym niedawno zniknął, i teraz posuwał się ponownie w kierunku rakiety.

Niepokój hinduskiego uczonego wzrósł jeszcze, gdy czarny skafander Sun Lina zniknął znów i przestrzeń za iluminatorem stała się zupełnie pusta.

Upłynęła minuta, druga, trzecia... Ponownie ukazała się postać ludzka, lecz to nie Sun Lin, to Ngarroba — w tym miejscu, w którym zniknął przedtem. Teraz w stronę rakiety szedł tylko Ngarroba.

Gargi już się nie zdziwił, gdy Ngarroba zginął mu znów, po przejściu z pół kilometra. Czekął, że jego oczom ukaże się z kolei Sun Lin. I Sun Lin się ukazał.

Hindus zrozumiał. Patrol wracał w rozsypkę, pojedynczo, żeby nie wpaść w nagłą zasadzkę, gdyby się okazała po drodze.

Ale gdzie jest trzeci? Gdzie się podział kierownik wyprawy?

I co należy przedsięwziąć? Patrol szedł wprost na spotkanie niebezpieczeństwa, którego pragnął uniknąć!

Uprzytomnił sobie jednak, że nie należy przedsiębrać żadnych kroków. Ludzie Wenus znajdują się po drugiej stronie pagórka, na którym stoi rakieta, i nie widzą tego, co Gargi widzi przez iluminator. Trzeba tylko, żeby powracający znaleźli się u stóp wzgórza albo nawet bliżej, pod samą rakieta, i następnie równocześnie wskoczyli w luk w ciągu tej krótkiej chwili, gdy będzie go można bez obawy otworzyć. Dobrze byłoby na ten czas w jakiś sposób odciągnąć uwagę oblegających.

Ale przede wszystkim należy niezwłocznie zawiadomić o wszystkim powracający patrol. Nie ma rady, trzeba będzie podnieść klape.

Gargi podszedł do otworu wejściowego, zdjął zabezpieczenie i nacisnął guziki. Zasuwki rozsunęły się bez szmeru, ciężkie drzwi wyzwoliły się z hermetycznych zacisków i powoli rozchylały swą paszczę.

Mechanizm nie był obliczony na pośpiech. Gargi ledwo się doczekał, aż drzwi rozchyliły się o tyle, aby mógł się przecisnąć do kabiny przepustowej. Teraz trzeba było czekać, aż się zamkną. Dopiero wtedy można wyjąć skafander z hermetycznie zamykanej szafy.

Podczas wkładania skafandra Gargi rozglądał się po kabine przepustowej. Była ona obliczona na jedną osobę, w razie potrzeby mogła pomieścić dwie. Ale trzy? Wyobraził sobie potężną postać Ngarroby i po-

kręcił głową. Ale czy będzie ich trzech? Na razie widział tylko dwóch!

Skafander włożony. Jeszcze ostatnia czynność — kłapa zewnętrzna. Ta odskakuje od razu.

Kłapa kołysze się jeszcze na mocnych zawiasach, a Gargi już wysunął głowę. Otwór wyjściowy znajduje się w dolnej części rakiety i jest widoczny z obu stoków wzgórza.

Gargi recytuje szybko przygotowane zdania, kierując spojrzenie raczej na tę stronę pagórka, z której nadlatywały dziiryty niż na nagie zbocze. Zdażył jednak zauważyć, że Sun Lin podszedł już prawie do podnóża. Sun Lin rzuca się na ziemię na dźwięk słowa: „Uwaga!” i słucha leżąc. Ngarroba też oczywiście słucha. Może słucha i Karbyszew, jeżeli tylko...

Kłapa, której przytrzymuje się Gargi, zadrgała nagle i na burą ziemię pada dziryt z ułamanym grotem...

Gargi mimo woli zaczyna się spieszyć, starając się jednak mówić wyraźnie. Lekcje dykcji, prowadzone we wszystkich szkołach Ziemi, oddają mu teraz wielkie usługi.

Drugi dziryt trafia Gargi w ramię. Rozdarta tkanina zaraz zaciągnie się sama, dobrze jednak byłoby wiedzieć, czy kamienne ostrze przebiło obie powłoki skafandra, czy tylko zewnętrzną? Gargi niemal realnie czuje, jak przez dziurę, w ciągu tej krótkiej chwili, nim się zasklepi, wdzierają się całe pułki bakterii, bardziej groźnych dla przybyszów z Ziemi niż ludzie miotający dziirytami. Wciąga głowę w otwór zostawiając na zewnątrz tylko antenę.

Trzeci dziryt przelatuje mu pod samym nosem — przy tym Gargi nie wie, czy ci, którzy go rzucili, wyszli z zarośli, czy też tkwią w nich niewidzialni.

Koniec! Gargi cofa się. Odpowiedź otrzymał tylko od Sun Lina. Klapa zamyka się za pociśnięciem dźwigni. Trzydzieści dwie automatycznie zakręcające się śruby spełniają swoją powinność. Gdy otwór jest hermetycznie zamknięty, Gargi włącza urządzenie dezynfekcyjne. Teraz w ciągu dziesięciu minut będzie opylany i opryskiwany za pomocą całego systemu krzyżujących się strumieni i zmiennych natrysków. Nie trzeba sprawdzać czasu — po zakończeniu procedury instalacja wyłączy się sama. Przyśpieszyć zabiegu również niestety nie można. Dopóki przyrządy kontrolne nie ustalą, że wszystko w porządku, nie otworzą się drzwi do wnętrza kabiny przepustowej.

Nareszcie skończyło się. Gargi zdejmuje skafander i chowa do szafki. Drzwi otwierają się wolno i w końcu jest w messie.

Do roboty! Trzeba włączyć czerwone światło sygnałowe w dziobowej części rakiety. Ale w tym celu należy rozłożyć fotel, ułożyć się w nim, przymocować się grubymi, z nadymanymi poduszkami pasami — inaczej przycisk włączający światło nie będzie działał. To sygnał startowy — oznacza, że załoga gotowa do lotu. Z jednej strony to oczywiście dobrze, że dla ekspedycji na Wenus wybrano wypróbowany, oblatany model rakiety, z drugiej jednak cały ten staromodny system sygnalizacji i zabezpieczenia jest trochę śmieszny. Gargi leży w fotelu skrępowany jak kasjer,

którego napadli bandyci — jeżeli wierzyć starym filmom wyświetlanym czasem w telewizji. Guzik jest pod wskazującym palcem prawej ręki. Naciśnięcie. Raz, dwa, trzy! Niech migoce rubinowe światło na szczycie rakiety, jaskrawe i widoczne nawet przy mdłym świetle długiego dnia Wenus. Przyciągnie może uwagę jej mieszkańców. Ze swej kryjówki w krzakach widzą przecież całą rakieta. Niech podniosą wzrok z Ziemi wyżej, ku niebu.

Gargi wyłączył instalację zamykającą otwór wejściowy. Wystarczy teraz dotknięcie guzika na zewnątrz, żeby kłapa natychmiast odskoczyła. Jest to dosyć ryzykowne. Przecież do przycisku mogą podejść również ludzie Wenus.

Z pozycji leżącej Gargi nie widzi iluminatorów. Przed sobą ma tylko wielki zegar. Na czworokątnej tarczy płoną cyfry: czerwone — godziny, zielone — minuty, żółte — sekundy. Jeżeli wszystko idzie jak należy, Ngarroba i Sun Lin zbliżają się teraz do wejścia.

Gargi nerwowo bębni palcami po przycisku. Stara się nie myśleć o tym, w jaki sposób trzech (och, oby trzech!) ludzi wciśnie się do komory przepustowej. Pierwszy wślizgnie się z łatwością. Wciągnie drugiego za rękę. Trzeci... Kto będzie trzeci? Przez sekundę Gargi wyobraził sobie plastycznie, jak nogi trzeciego wystają z otworu w butach, najgrubszej i najmocniejszej części skafandra. Do tych drgających butów podbiegają gołe, porośnięte sierścią istoty, chwytają rękami krzepkimi jak kleszcze, ciągną, włożą w otwór...

Wielkie cyfry świecą obojętnie na tarczy zegara. W gruncie rzeczy można by już przestać naciskać guzik, ale Gargi leży i wciąż sygnalizuje. Kto wie, może to migające światło wywrze magiczny wpływ na mieszkańców Wenus.

Czas mija. Zielone cyfry bezlitośnie i nieubłagane zastępują jedna drugą. Jeszcze minuta. Jeszcze i jeszcze, i jeszcze...

Gargi poczuł, jak czoło pokrywa mu się kroplami potu. Drzwi drgnęły. Hindus wyobraził sobie z przerażającą jasnością, jak w szczelinę wsunie się włochate ramię. Zaczął gorączkowo odpinać pasy przytrzymujące go w fotelu.

Ciemna, naga ręka mignęła spoza drzwi.

— Uff! — sapnął ktoś.

Gargi zerwał się.

W iluminatorze zobaczył wyolbrzymioną przez szkło powiększające głowę, kosmatą, z występującymi łukami brwi, z opadającymi na czoło włosami, z małymi, prawie bez powiek jak u zwierząt oczkami, patrzącymi bystro wprost na niego.

— Aparat! — krzyknął bezwiednie Hindus. J Aparat filmowy ustawiony wprost iluminatora zaczął natychmiast pracować. Absolutnie bezszmerowy, jak wszystkie aparaty współczesne, zdradzał tylko obracającą się tarczą ze wskazówką, że dokonuje zdjęć.

Drzwi otwarły się już o jedną trzecią, ale nikt się nie pokazywał. W komorze przepustowej słychać było tylko rozpaczliwe sapanie.

Gargi zrobił dwa kroki ku drzwiom i usłyszał słowa, które zabrzmiały dlań jak najpiękniejsza muzyka:

— Niech to diabli, jak ciasno! To był naturalnie Ngarroba!

Gargi rzucił się naprzód. Zobaczył najpierw płatacinę poruszających się rąk i nóg. Nie od razu był w stanie zorientować się, że ma przed sobą wszystkich uczestników patrolu. Pierwszy wydostał się z tego stosu i wdarł do messy Ngarroba. Wpadł prosto w objęcia Gargi.

— Uff! — stęknął. — Jeszcze chwila i byłoby po mnie. Nie rozumiem, jak zdołaliśmy zdjąć skafandry. Teraz już wiem, co muszą czuć sprasowane w paczce daktyle.

— I to mówi człowiek, który zajął trzy czwarte komory — zawołał Sun Lin, który ukazał się za nim. — Wiesz, zwrócił się do Hindusa — — Karbyszew był jednak zmuszony użyć pistoletu. Ośłaniał nasz odwrót. Strzelał co prawda, w powietrze... Ale co się z nim dzieje?!

Teraz, gdy Ngarroba i Sun Lin opuścili komorę, przez otwarte drzwi widać było postać rozciągniętą na podłodze. Jedna ręka Karbyszewa leżała na progu messy, w zaciśniętych palcach tkwił pęk rudych włosów, druga podwinęła się jakoś pod ciało. Błada, aż niebieskawa twarz zdawała się być bez życia.

— Prędezej! — krzyknął Sun Lin.

Opanowanie po raz pierwszy zawiodło uczonego chińskiego.

Ngarroba bez wysiłku podniósł ciało Karbyszewa i ułożył na przekształconym w łóżko fotelu, z którego Gargi dawał sygnały. Hindus trzęsącymi się rękami przygotowywał strzykawkę.

Sun Lin szybko rozebrał Karbyszewa.

Ciało kierownika ekspedycji było pokryte wielkimi sińcami i naciekami krwi. Szczególnie wiele purpurowych plam znajdowało się na rękach i nogach. Na lewej ręce, na bicepsie odcisnął się ślad czterech olbrzymich palców. Koło szyi widać było prawie czarną plamę.

— To jest najgroźniejsze — powiedział Sun Lin przez zaciśnięte zęby. — Zastrzyk!

Gargi naciskał już tłok strzykawki.

— Natrysk elektryczny!

Ngarroba przyciągnął błyszczący reflektor wyciągnięty wraz z przewodem z szafki ściennej. Nałożył Karbyszewowi hełm na głowę i włączył prąd.

— Oddech elektryczny! Serce elektryczne! — Sun Lin wydawał dyspozycje w absolutnej ciszy.

Karbyszew, oplatany przewodami i przyrządami, nie dawał znaku życia.

— No, tego już nie daruję! — mruknął Ngarroba z żalem i gniewem, instalując zapasową butlę z tlenem przy aparaturze sztucznego oddychania.

Dopiero w szesnastej minucie zabiegów powieki Karbyszewa zadrgały lekko.

— Ocalony — rzekł z ulgą Sun Lin. — Zathowała się w nim jeszcze iskra życia... Teraz tylko maksimum ostrożności!

Włączył natrysk elektryczny. Gargi przestawił aparat elektrycznego oddechu i elektrycznego serca na spokojniejsze działanie.

Jeszcze przez kwadrans Karbyszew leżał nieruchomo. Potem otworzył oczy.

— Wszyscy cali? — zapytał obejmując wzrokiem twarze towarzyszy.

Policzki mu się zaróżowiły. Podniósł głowę.

— Dobrze cię poczęstowali — rzekł uszczęśliwiony Gargi.

— To Ngarroba — zażartował Karbyszew z trudem poruszając zbiegającymi wargami. — Tak mnie sprasował, że objętość mego ciała stała się dwa razy mniejsza, ale za to zmieściłem się w komorze. Dziękuję ci, Ngarroba!

— Nie, to nie moje dzieło! — zaprzeczył Ngarroba, smarując sińce na ciele Karbyszewa białą, pachnącą masą, którą wyciskał z dużej tuby.

Sine i purpurowe plamy natychmiast zaczęły blednąć. Karbyszew przeciągnął się. Spróbował usiąść.

— Kości mam całe — dobre i to! No, z taką siłą jeszcze się w życiu nie zetknąłem...

— A gdzie twój pistolet?

— Hm...

Ani w komorze przepustowej, ani w skafandrze pistoletu nie było.

— Nie pamiętam... Wszystko działo się jak we śnie! Zwartym kołem otoczyły mnie straszne istoty, jakieś zwierzęce mordy z klapami, zakrywającymi noz-

drza, ręce o czterech palcach z błoną u nasady dłoni, palce długie... Wyciągają się ze wszystkich stron, szarpia. A Ngarroba wlecze mnie po drabince! Zdaje się, że urwali tę drabinkę. Więcej nic nie pamiętam.

— No, właśnie — pokręcił głową Gargi — Zdaje się, że uzbroiliśmy naszych przeciwników.

— Nie chciałbym uważać ich za przeciwników — powiedział Karbyszew ze znużeniem. I opadł znów na posłanie.

— Spróbuj im to wytłumaczyć — Ngarroba wskazał na iluminator.

Za oknem wciąż widać było kudłatą głowę z okrągłymi oczami.

Paru innych ludzi Wenus kręciło się w pobliżu. Łowcy tautolonów zorientowali się zapewne, że rakieta nie jest w stanie ani wierzgnąć, ani w ogóle ruszyć się z miejsca, chociaż stoi na wielu nogach. Może zniknięcie w jej wnętrzu trzech zwiadowców, których ścigali do samego otworu wejściowego, naprowadziło ich na jakieś myśli. Słowem, tak jakby nabrali odwagi.

— Nie spłoszcie go — powiedział Sun Lin.

Coś jednak musiało przestraszyć zagląającego, gdyż nagle odskoczył.

Aparat filmowy wydał krótki dźwięk. Gargi pośpieszył zmienić kasetę.

— Szkoda byłoby stracić taką okazję!

Człowiek z Wenus stał teraz w odległości dziesięciu kroków od iluminatora i był widoczny w całej okazałości. Wysoki, z bardzo wypukłą klatką piersiową, z

olbrzymimi stopami, z długimi rękami, obrośnięty rudą sierścią, wyglądał jak uosobienie pierwotnej siły.

— Niezbyt piękny — zauważył Gargi. — Według naszych, oczywiście, pojęć. Ale widać, że bardzo silny.

— Zwróćcie uwagę na czaszkę — powiedział Sun Lin. — Jakieś połączenie Neandertalczyka z... słowo daję, taką samą albo bardzo podobną czaszkę widywałem w muzeach Ziemi. Prawdopodobnie ma bardziej rozwinięty mózg, niż można by sądzić na podstawie oznak zewnętrznych. A potężna klatka piersiowa jest w tych warunkach niezbędna. Przecież nie ma skafandra i musi przepompowywać przez płuca mnóstwo powietrza, ubogiego w tlen. Spójrzcie, objętość jej równa jest prawie połowie tułowia.

— W każdym bądź razie ci ludzie dawno zapomnieli o czasach, w których chodzili na czworakach — dorzucił Ngarroba. — Chód mają niezgrabny, ale to wskutek budowy ciała. Za to jaki pewny!

I roześmiał się nagle.

— Z czego się śmiejesz? — zapytał Gargi.

— Bo to bardzo zabawnie wyszło. Przez bite dwadzieścia cztery godziny tropiliśmy te istoty i żadnej z nich nie wypatrzyliśmy. A ty, pechowiec, zostawiony na straży rakiety byłeś pierwszym, który się z nimi zetknął.

— Nie spotkaliście żadnego?

— Zobaczyliśmy tautolona, który był nabity dziry-tami jak poduszczyk od szpilek. Na ten widok odpadła nas chęć rozmawiania z posiadaczami tych dziry-tów bez tłumacza.

— Widać było, że nagle przerwali polowanie — do-
rzucił Sun Lin.

— Doszliśmy do wniosku, że odkryli rakieta. Cóż
innego mogłoby ich tak gwałtownie zadziwić lub prze-
straszyć? Postanowiliśmy wracać. I przedsięwzięliśmy
pewne środki ostrożności, żeby nie wpaść w ich ręce.
Dlatego w gruncie rzeczy spóźniliśmy się.

— A gdzie twój dziryt? — zapytał Gargi.

— Rzuciłem go — odparł Ngarroba. — Przy wspi-
naniu trudno było o tym myśleć... Koło rakiety ponie-
wierało się ich mnóstwo, doszedłem do wniosku, że
musiałeś zrobić dostateczny zapas.

— Nie zdążyłem — powiedział z żalem Gargi. —
Zjawili się zupełnie nagle. Natychmiast ukryłem się w
rakiecie. A potem posypały się dziiryty. Może mnie w
ogóle nie zauważyli. Atakowali rakieta.

— Miałem wrażenie, że chcieli wziąć nas żywcem
— oświadczył Ngarroba. — Przecież jesteśmy dla nich
jeszcze bardziej niepojętymi istotami niż oni dla nas.
Może chcieli przeprowadzić nad nami studia?

— Wygląda na to, że zabierają się do odejścia —
odezwał się Gargi patrząc w iluminator.

— Raczej chowają się w krzakach — zaprzeczył
Sun Lin. — Sądzę, że nie zaprzestaną obłążenia.

Ludzie Wenus jeden po drugim wycofywali się z
pola startowego rakiety. Niektórzy zbierali leżące na
ziemi dziiryty.

— Zabierają ostatnie dowody rzeczowe! — zawołał
Gargi. — Nie zostało nam nic, prócz taśmy filmowej.

Nie dowiedzieliśmy się nawet, co to za materiał, z którego robia grotty.

- Parę sztuk jeszcze się tam poniewiera,
- Ale ten zuch ich pilnuje.

Rzeczywiście człowiek, który zaglądał do wnętrza rakiety, nie miał widocznie zamiaru odejść. Krążył w pobliżu.

— No, to niech pilnuje! — oświadczył nagle Ngarroba zdecydowanym tonem. — To nam nie stanie na przeszkodzie!

- Chcesz spróbować zrobić wypad? Po dziryty?

— Dziryty? — Ngarroba podniósł się. Wyciągnął swoje ręce atlety i naprężył mięśnie. — Ja... Oczywiście, ten chłopak — Ngarroba wskazał głową — jest ode mnie silniejszy. Ale wątpię, żeby znał wszystkie chwytów zapaśnicze, którymi się pasjonowałem w jego wieku.

- Uważasz, że to jest młodzieniec?

— Oczywiście. Wśród napastników był jeden cały pomarszczony, widocznie wódz, stał na uboczu i tylko wymachiwał swymi długimi łapami. A ten w porównaniu z nim to jeszcze całkiem dziecko.

- Poczekaj, co ci przyszło do głowy? Chcesz go...

- A wy nie chcecie?

— Tak, przywieźć taką zdobycz naukową... — rzekł Gargi z rozmarzeniem.

Karbyszew podniósł rękę, jakby zamierzał coś powiedzieć, ale powstrzymał go wyraz twarzy Sun Lina.

— Nie dasz mu rady — spokojnie zauważył uczonego chiński.

— Możecie na mnie polegać. — Ngarroba wyprostował się.

— Jest od ciebie co najmniej trzy razy silniejszy — przekonywał Sun Lin. — Spójrz na jego muskulaturę. Posiada mięśnie, których ty w ogóle nie masz.

Kudłaty człowiek chodził po rozdeptanej licznymi śladami stóp ziemi na zboczu wzgórza z pochyloną głową, z rzadka zerkając spod opadających na czoło włosów w stronę rakiety. Na jego zgiętych, szerokich plecach przetaczały się mocne wzgórki wyraźnie występujących przy każdym ruchu mięśni.

— Nie powstrzymujcie mnie — powiedział Afrykańczyk. — Jest nas wreszcie czterech. Mamy osiem rąk, a to też ma swoje znaczenie. I jeżeli zrezygnujemy z reguł sportowych — a stosowanie ich tu nie miałoby sensu — i rzucimy się na niego wszyscy czterej, to go pokonamy.

Sun Lin spojrzał na Ngarrobę z uśmiechem, jak na dziecko.

— Okazja jest bardzo kusząca — zaczął ustępować Gargi. — Co on tam robi?

— Ma w rękach nasz pistolet!

— Nie pamiętasz, czy został w nim jeszcze nabój?

Karbyszew nie zdążył odpowiedzieć.

Z lufy pistoletu trysnęła krótka, błękitna, błyskawica. Kosmaty człowiek runął na ziemię. Jego wielka, wypukła pierś prawie się nie ruszała.

— Świetna okazja sprawdzenia odporności organizmu człowieka Wenus — spokojnie powiedział Sun Lin. — Ciekawe, za ile minut się ocknie.

— Wychodzimy! — krzyknął Ngarroba, rzucając się ku drzwiom.

— Stój! — stanowczo zaprotestował Karbyszew, próbując usiąść. Aż zbladł z przejęcia.

— Trzeba go tu wnieść, póki się nie ocknął — niecierpliwie rzucił Afrykańczyk.

— A co będzie, gdy się ocknie? — zapytał z naciśkiem Karbyszew.

— Rozwali tu wszystko — powiedział Gargi.

— Trzeba go będzie... uśpić!

Ngarroba zmarkotniał, usiadł w fotelu i zaczął nerwowo bębnić palcami po poręczy. Potem objął wzrokiem wnętrze rakiety. Najprecyzyjniejsze przyrządy, produkt najwyższej techniki otaczały podróżników. Czułe wskazówki, tarcze zegarowe, płonące lampki, automatyczne pióra snujące na taśmach papierowych nieskończoną nić, działające bez przerwy analizatory powietrza, przyrządy sterownicze... Rakieta stanowiła skomplikowany sztuczny organizm, rządzony jak gdyby prawami własnego życia.

Ngarroba westchnął głęboko i podszedł do iluminatora. Młodzieniec z Wenus, dzika istota, nie znająca nawet ubrania, leżał na burej, miękkiej glebie własnej planety.

— Przecież to człowiek — Sun Lin wypowiedział myśl, która nurtowała wszystkich.

— A niech cię, Ngarroba! — westchnął zawstydzony Gargi. — Potrafisz zarazić każdego swoim temperamentem.

— Mężny, odważny człowiek — dorzucił uczony chiński. — Świadczy o tym całe jego zachowanie.

— Ten człowiek, tak jeszcze podobny do zwierzęcia, nie znał w swym życiu niewoli — powiedziały Karbyszew po długiej przerwie. — W tutejszym, zawsze ciepłym klimacie, na globie, gdzie nie ma prawie zmian pór roku od tysięcy być może lat chodzi nagi, obrośnięty sierścią, która mu prawdopodobnie służy również za posłanie. Ale ten człowiek, drodzy przyjaciele, wynalazł dziryty, posiada rozum. Jest panem, tak, jest panem Wenus. Choćby nawet nie zdawał sobie z tego sprawy, choćby nawet nie rozumiał świata, na którym żyje.

— I oto przylatują ludzie z innej planety — z łagodną ironią zakończył Sun Lin — ludzie znajdujący się na nieporównanie wyższym stopniu rozwoju — i pierwsza rzecz, którą robią, to chwytają wolnego, na swój sposób wolnego człowieka z Wenus i w charakterze jeńca wiozą go na Ziemię.

— Co więc proponujecie? — zapytał Ngarroba. Wstydził się teraz strasznie swego sportowego zapалу.

Aparat filmowy wydał krótki dźwięk.

— Kasetka! — krzyknął Ngarroba. — On się zaraz ocknie.

W głosie jego wyczuwało się, że wciąż jeszcze trudno mu się pogodzić z takim zakończeniem.

Gargi zmienił kasetę.

Pierś mieszkańca Wenus zaczęła podnosić się w oddechu. Wszyscy skupili się przy iluminatorze.

— Co proponujecie? — powtórzył Ngarroba.

— My, ludzie Ziemi — powiedział Karbyszew — znajdujemy się w sytuacji bogów, od rozumu i woli których zależą teraz dalsze losy mieszkańców Wenus. Nie wiem, czy mają oni swoją mitologię. Ale my znamy więcej niż ich bogowie. Jesteśmy bardziej wszechmocni. W naszej mocy jest nadanie prawidłowego kierunku rozwojowi ludzi z Wenus i w miarę możliwości przyśpieszenie tego procesu. I dopiero na pewnym stopniu, gdy będziemy mieli już za sobą dłuższy kontakt i zdołamy dać ludności tutejszej jakieś wyobrażenie o Ziemi, zaprosimy ich, aby odwiedzili naszą planetę.

— My — to znaczy ludzkość?

— Tak.

— Musimy przedstawić ten projekt pod rozwagę ludziom Ziemi — rzekł Sun Lin.

— I to niezwłocznie — dorzucił Karbyszew.

— Właściwie rakieta jest już przygotowana i może wystartować o oznaczonej godzinie — przypomniał Gargi. — Trzeba tylko trochę poczekać i nacisnąć guzik.

— Ale mimo wszystko, co mówicie — powiedział Ngarroba — szkoda mi tak prędko opuszczać tę planetę. Pierwszy raz jestem na Wenus! Tak pragnąłem wziąć udział w tej wyprawie... Patrzcie, on wstaje.

Konwulsyjny dreszcz przebiegł przez ciało rudego młodzieńca. Otwarł okrągłe, bystre oczy i w ciągu paru sekund z nateżeniem wpatrywał się w iluminator. Czy widział przezeń ludzi? Nagle zerwał się i rzucił do ucieczki. Zaraz jednak opanował się i poszedł wolnym

krokiem, kołysząc się z boku na bok i oglądając co chwila. Jeszcze mgnienie oka — i zniknął w gęstych zaroślach...

— A sympatyczny chłopiec! — zaśmiał się Ngarroba. — I nie brak mu, jak się zdaje, charakteru.

5

Loo wyrwał się naprzód, ku tej dziwnej kulu siedzącej na mnóstwie nóg, sam nie wiedząc, po co to czyni. Coś go ciągnęło ku tej wielkiej bryle, wieńczącej szczyt wzgórza. Strach, który go opętał na widok ognia z chmur, ustąpił całkowicie. Loo nie mógłby powiedzieć z całą pewnością, ze stwór, który wyłonił się z chmur i przeraził go — oraz ta przyczajona jak do skoku bryła, jest jednym i tym samym. Ale ogarnęło go podniecenie, podobne do tego, gdy w obliczu całego plemienia chciał opowiedzieć o niebiańskich kulu. Loo nie powinien był wychodzić z krzaków. Według planu wodza miał wraz z dwudziestu innymi siedzieć w zasadzce.

Wybiegł jednak, jakby go ktoś popychał. Zobaczył ogromne oko pochylonej kulu — i w tym oku coś się poruszało. Wszystkie istoty, które Loo spotykał w swym życiu, miały wypukłe oczy bez żadnego wyrazu i nigdy nie odbijało się w nich nic podobnego do cienia. Tylko dwunożni posiadali oczy, które mogły patrzeć w różny sposób.

Loo podbiegł bliżej i zaczął przyglądać się oku kulu, tak ogromnemu jak wejście do Jaskini Ognia.

To, co zobaczył, wstrząsnęło nim. Wewnątrz oka byli dwunożni! Tak, tak, dwunożni! Chc mówił zawsze, że stworzenia, które nie chodzą na czworakach lub nie skaczą jak rozdrażnione kulu — to kou, dwunożni. Tylko kou chodzą w pozycji pionowej. Kou, których zobaczył Loo, nie byli podobni do dwunożnych z jego plemienia i do dwunożnych z plemienia Cho. Ale — Loo przyglądał im się szeroko otwartymi oczami — chodzili na dwóch nogach i wymachiwali rękami prawie tak samo, jak to robią kou z plemienia Loo, gdy rozmawiają. Mieli pomarszczoną skórę bez sierści, zbyt długie nogi, w ogóle byli bardzo brzydcy. Loo czuł jednak, że te istoty — to kou.

Chc nawoływał go z gniewem. Po nieudanym ataku na okrągłogłowych wszyscy ukryli się w krzakach. Tylko Loo pozostał przy wielkiej kulu. Nie mógł odejść. Gdzie się podzieli okrągłogłowi? Kulu połknęła ich ustami znajdującymi się na brzuchu. Kou w oku kulu nie przypominali tych okrągłogłowych.

Nagle Loo zobaczył pod nogami błyszczącą kość, omal na nią nie nadeptał. Podniósł ją i zaczął obmacywać. Uderzenie powaliło go na ziemię.

Gdy otworzył oczy, wielka kulu skakała przed nim. Skupił się — i kulu przestała skakać. Loo ogarnęło nagle przerażenie. Strach, jakiego nigdy jeszcze nie doznał. Zerwał się i zaczął uciekać. Ale strach nagle minął. Loo zaczął kroczyć spokojnie, oglądając się — kulu patrzyła za nim swoim okiem, w którym się coś poruszało.

Chc kazał wszystkim schować się w krzakach i nie wysuwać nawet nosa. Wódz spodziewał się, że okrągłogłowi znów wyjdą na zewnątrz. Wtedy myśliwi ich schwytają.

Wódz nie wiedział, co to za istoty — nie było takich w całej okolicy.

Odwieczny, mglisty instynkt kazał mu się mieć na baczności. Gdyby potrafił wyrazić swoje uczucia słowami, powiedziałby, że to co nieznane zawsze kryje w sobie niebezpieczeństwo. Z rozdętymi klapami nozdry Chc chciwie wciągał powietrze.

Loo z ukrycia obserwował wielką kulu. Trudno było określić, czy ona stoi, czy siedzi. Tylko oko jej chwilami zdradzało oznaki życia i zaczynało się świecić, jak oczy niektórych zwierząt w nocy. Tak upłynęło wiele czasu. Nic się nie działo. Wtem z tułowia kulu wystrzelił płomień ognisty i potoczył się w dół, po zboczu wzgórza. Pod Loo ugięły się nogi.

Kulu ryknęła tak głośno, że Loo nie miał już wątpliwości, że to niebiańska kulu. Tylko niebiańskie istoty grzmiały na cały świat, gdy ze sobą rozmawiają. Kulu krzyczała coś do kogoś w niebie.

Potem zaczęła podnosić pysk do góry i nogi jej znikaly — kurczyła je, czy wciągała jak to robią kiczi, pełzające w kałużach.

Kulu ryczała i stała teraz prosto jak drzewo, nie dotykając wzgórza. Wznosiła się w górę. Naturalnie, zaraz uleci w niebo — przecież to niebiańska kulu. I kou, których Loo widział w jej oku, to niebiańscy kou. Kulu wolno, zupełnie wolno zaczęła wznosić się ku

niebu. Dokoła rozlegał się taki huk, że nic nie można było usłyszeć. Kulu nagle nabrała pędu i zniknęła w gęstych chmurach. Tylko promień jej, jak przezroczysty ogon, pozostał jeszcze czas jakiś, lecz stawał się coraz bledszy, słabszy, aż zniknął. Loo stał z zadartą głową i patrzył w niebo. Nie wiedział, że tam w niebie Wenus, tam, dokąd polecili niebiańscy kou, na dalekiej planecie, niewidocznej stąd przez grube warstwy chmur rozstrzygną się losy jego i jego współbraci. Nigdy nie będzie musiał Loo i wszystkie późniejsze pokolenia zaznać niewoli, wojny, ucisku w najprzeróżniejszych formach. Niebiańscy kou podadzą rękę swoim dzikim braciom i poprowadzą ich w świat pokoju i wolności, omijając wszystkie stopnie, które przeszli sami. Loo o tym wszystkim nie wiedział. Patrzył w niebo, póki nie zgasł ostatni promień niebiańskiej kulu.

W pogoni za wężem morskim

I

Agapow zapewniał zebranych, że gdyby nie to, iż znajdował się wówczas na Księżycu, Kałabuszew nigdy nie zostałby wysłany do jednego z najgłębszych kanałów na dnie Oceanu Indyjskiego.

– Przecież to jest jeden z największych uparcichów w Układzie Słonecznym! – gorączkował się. – Gdybyście, panowie, zadali sobie odrobinę trudu i zwrócili się do Wszechświatowego Biura Informacyjnego z prośbą o podanie nazwisk ludzi najmniej odpowiednich do uczestniczenia w tej wyprawie, Kałabuszew z całą pewnością znalazłby się w pierwszej dziesiątce.

Ci, którzy przygotowywali wyprawę, wzruszali tylko ramionami. Kałabuszew był nie tylko najlepiej przygotowanym, ale właściwie jedynym specjalistą w dziedzinie węży morskich. Oprócz niego, chyba nikt z naszej planety nie interesował się zjawami ukazującymi się pijanym lub na poły żywym ze strachu marynarzom, w czasach gdy na morzach i oceanach świata niepodzielnie panowały żaglowce. I tylko on, jako namiętny kolekcjoner, przez całe swoje życie wygrzebywał z dawno zapomnianych archiwów, pożółkłych ksiąg i rozsypujących się ze starości gazet, legendarne opowieści opisujące pojawienie się morskich potworów. Wątpliwe, czy nawet Wszechświatowa Biblioteka Cybernetyczna, posiadająca przecież kilka miliardów

działów, których elektronową pamięć już od trzech prawie lat nasycano informacjami z różnych dziedzin nauki i techniki, zdobytymi przez ludzkość na całej przestrzeni jej historycznego rozwoju, dysponowała chociażby jedną tysięczną tych danych, jakie zalegały w postaci mikrofilmów i fotokopii ogromne szafy w gabinecie Kałabuszewa. I tylko on mógł powiedzieć, co z tych powieści, notatek czy sprawozdań miało chociażby cień wartości naukowej, a co należało uznać za wytwór pijanej fantazji. Zresztą i on mógł się mylić, co nie przeszkadzało mu niewzruszenie wierzyć w istnienie węży morskich.

Oczywiście, gdyby Komisja dysponowała chociażby jeszcze jednym fachowcem „węzoznawcą”, mogłaby się zastanawiać, którego z nich wysłać na tę wyprawę. Ale w sytuacji, gdy nie ma wyboru, niewysłanie Kałabuszewa na wyprawę, której celem było poszukiwanie hipotetycznego węża morskiego, byłoby zbyt niesprawiedliwe i okrutne. Przecież właśnie on zasłużył na uczestnictwo w tej ekspedycji bardziej niż ktokolwiek inny na świecie!

Kwestia, dlaczego wysłano na wyprawę właśnie Kałabuszewa, nie była w tej chwili najważniejsza i dyskusja na ten temat musiała być, siłą rzeczy, jałowa. Toteż gdy uczestnicy zebrania odrobinę ostygli, przewodniczący posiedzenia, akademik Ławrow, przeszedł do rzeczy najważniejszej:

– Teraz, proszę panów, powinniśmy podjąć decyzję w kwestii, w gruncie rzeczy nie mniej ważnej, kogo posłać na poszukiwanie Kałabuszewa?

Nie wiem dlaczego, ale wszyscy popatrzyli w moją stronę. Do tej chwili byłem przekonany, że zostałem zaproszony wyłącznie w charakterze eksperta, specjalisty w dziedzinie głębokiego pływania podwodnego. I rzeczywiście, w czasie dyskusji zadano mi kilka pytań, dotyczących warunków panujących na dnie Oceanu w rejonie pechowego kanionu. Teraz jednak, najwyraźniej, oczekiwano ode mnie czegoś zupełnie innego.

– Co pan może powiedzieć, kapitanie? – zachęcił mnie Ławrow.

– Na tej wyprawie ciąży większa odpowiedzialność niż na ekspedycji Kałabuszewa – powiedziałem. – Gdyby Kałabuszew nie znalazł swojego węża, świat by się nie zawalił. Nieznalezienie zaś Kałabuszewa to już całkiem inna sprawa.

– My to doskonale rozumiemy, kapitanie – przymrużył oko Ławrow.

– Nie odmawiam – powiedziałem. – Trochę mnie to jego przymrużone oko irytowało. – Zanim jednak poweźmie się ostateczną decyzję, należy zastanowić się, kto jest najlepiej przygotowany do dowodzenia wyprawą ratunkową. Tego właśnie człowieka należy wysłać. Nie możemy powtórzyć błędu, jaki popełniliśmy wysyłając Kałabuszewa.

– Jakie ma pan zastrzeżenia co do swojej kandydatury?

Muszę tu wyjaśnić, że zgodnie z panującym zwyczajem człowiek, któremu powierza się wykonanie specjalnie odpowiedzialnego zadania, ma obowiązek

wymienić swoje wady lub inne cechy charakteru, mogące dyskwalifikować go jako kandydata do wypełnienia tego właśnie zadania.

– Zastrzeżeń nie mam – zaprzeczyłem. – Chciałbym natomiast przedstawić swoje stanowisko w tej sprawie. Przede wszystkim nie wierzę w istnienie tego sławetnego potwora. Obląziłem, i to dosłownie, bo w lekkim skafandrze nurkowym, chyba wszystkie najgłębsze dziury Oceanu Światowego i mogę panów zapewnić, że ani razu nie natknąłem się na węża morskiego ani na „Latającego Holendra”.

– Ale w istnienie Kałabuszewa pan nie wątpi?

Oko Ławrowa było w dalszym ciągu przymrużone i to coraz bardziej działało mi na nerwy.

– Pańskim zadaniem będzie odszukanie Kałabuszewa, a nie węża morskiego – dokończył Ławrow. To była jego mała zemsta za mojego „Latającego Holendra”.

– Jeżeli dobrze zrozumiałem, Kałabuszew i wąż powinni znajdować się gdzieś razem – wymamrotałem.

– A ja zupełnie nie znam zwyczajów węży morskich.

– Żaden z podwodniaków nie wierzy w istnienie węża morskiego, tak samo jak i pan. Pan natomiast jest jednym z najbardziej doświadczonych żeglarzy podwodnych, powiedziałbym nawet – asów. To jest przecież wyprawa ratunkowa, dlatego też wybraliśmy pana.

– W takim razie – powiedziałem – możemy przejść do konkretów. Jeżeli Komisja zdecyduje się zawierzyć

mnie dowództwo tej wyprawy, w ciągu dwóch godzin przedstawię listę załogi, która...

– Załogi? – przerwał mi Ławrow. – Nie ma mowy o żadnej załodze. Pan popłynie sam.

Popatrzyłem uważnie na twarze członków Komisji, siedzących w ustawionych półkolem głębokich fotelach. Nie, to zdecydowanie nie byli ludzie, których mogłyby się trzymać tego typu żarty.

– Wbrew wszelkim przepisom?! – Byłem wstrząśnięty. Pokiwałem głową. Przed chwilą ze wszelkimi szczegółami omówiono skutki, do jakich doprowadziło złamanie zasad bezpieczeństwa podczas organizowania wyprawy Kałabuszewa i zaraz potem planuje się nowe, znacznie poważniejsze pogwałcenie tych zasad. Moje zdumienie było usprawiedliwione.

– Sprawa jest bardzo prosta, kapitanie – powiedział Agapow. – Kałabuszew popłynął na „Rai” i nikt nie wie, w jaką szczelinę mógł ten jego stateczek zabrać, nie mamy z nim łączności, a co za tym idzie, poszukiwać go trzeba przy pomocy takiego samego małego stateczku. Powiem prosto z mostu: nie jest wykluczone, że pan będzie zmuszony podróżować nie tylko pod wodą, ale i pod ziemią.

– Tak, oczywiście słyszałem już o labiryntach podwodnego kanionu Tumberlinga. Znałem również jedną z hipotez twierdzącą, że są to katakumby, które w wyniku jakiegoś kataklizmu zapadły się na dno morskie. Być może, że właśnie tam, w którejś z nisz katakumb, gnieździły się węże morskie. Zupełnie możliwe. Nikt jeszcze nie był w tych dziwnych norach,

jakby wygrzebanych w podwodnych skałach. Oczywiście, oprócz Kałabuszewa. Temu człowiekowi wszystko mogło przyjść do głowy i żadne zakazy nie stanowiły dla niego przeszkody.

– No tak, ale przecież „Raja” jest dwumiejscowa – powiedziałem. Nie bałem się, ale przestrzeganie pewnych elementarnych przepisów po prostu wchodzi w krew starych podwodniaków. Nie jesteśmy przecież dziećmi.

– Drugie miejsce może być potrzebne któremuś z ratowanych – po prostu powiedział Ławrow.

Dopiero teraz zrozumiałem do końca myśl członków Komisji. Myśleli, że „Raja” Kałabuszewa zaklinała się w tej podwodno-podziemnej pułapce. Wyholowanie stateczku, prawdopodobnie, nie uda się. A więc trzeba będzie chyba dokonać „przesiadki” pasażerów.

– Kto jest drugim członkiem załogi w wyprawie Kałabuszewa? – spytałem.

– Titow.

Titowa znałem. Człowiek absolutnie zrównoważony.

Spokojny, że nie powiem flegmatyczny. Doskonały „kompensator”, jeżeli tak można się wyrazić, uzupełniający cechy charakteru Kałabuszewa. Instrukcje, które otrzyma, wypełni zawsze co do joty. Nie naruszy najmniejszego punkciku instrukcji, choćby dookoła niego ziemia się zapadała.

– Który z nich jest dowódcą?

– Kałabuszew.

Najwidoczniej sądzone mi było zdumiewać się dzisiaj bez końca z powodu zasad, jakie przyjęto przy kompletowaniu załogi do tej wyprawy.

– Kałabuszew nie miał moralnego prawa zgodzić się na to! – wykrzyknąłem.

– Dlaczego? – zdziwił się Ławrow. – Przecież on rzeczywiście jest swojego rodzaju specjalistą.

– Ależ panowie, panowie! – Upierałem się. Dopiero teraz w całej rozciągłości podzielałem oburzenie Agapowa. – Jak Komisja mogła zgodzić się na nominację Kałabuszewa?

– A według pana dowódcą wyprawy należało mianować Titowa? – Ławrow patrzył na mnie chłodnym, badawczym wzrokiem. Dopiero teraz, pomyślałem sobie, zacznie mnie przyciskać do muru. Słyszałem już, że sztukę prowadzenia dyskusji Ławrow ma opanowaną do takiego stopnia, do takiej perfekcji, do jakiej mistrz świata w zapasach ma opanowaną technikę prowadzenia walki. – Po raz pierwszy – w głosie Ławrowa zadźwięczał odcień zdziwienia – po raz pierwszy wysłałbym na wyprawę badawczą, w charakterze dowódcy tej wyprawy, człowieka, który nie wierzy w możliwość osiągnięcia celu, jaki przed tą wyprawą został postawiony. Gdybym to zrobił, to dopiero byłoby pogwałcenie wszelkich reguł i przepisów!

Nie odezwałem się ani słowem.

Titow rzeczywiście był świetnym podwodniakiem, ale jego specjalnością była hydroakustyka. Trochę racji Ławrow miał.

– Znani biologowie–podwodniacy byli już zaangażowani do innych wypraw. Ci, którzy nie mieli w tym czasie konkretnego przydziału, nie nadawali się na tę wyprawę, tak pod względem cech charakteru, jak i, a nawet przede wszystkim, pod względem kwalifikacji technicznych.

Tak, Titow jest mistrzem głębokiego pływania podwodnego, nikt temu nie przeczy. Oczywiście, jeżeli zaczęto od Kałabuszewa, to wszystko to, co potem nastąpiło, było wynikiem tej pierwszej decyzji. Wszystko sprowadzało się do Kałabuszewa, a dokładniej do węża morskiego, w którego istnienie człowiek ten wierzył z całym uporem.

– Przecież wyprawa nie została zakwalifikowana jako niebezpieczna – zauważył Ławrow. – Nikt nie polecał badania labiryntów Tumberlinga. Mieli po prostu płynąć wzdłuż kanionu i to wszystko. Co tam się wydarzyło, co się z nimi stało, tego nie wie nikt.

– Niech pan powie – spytałem Ławrowa wprost – czy pan sani wierzy w tego, jak mu tam... no...

Ławrow uśmiechnął się.

– Rozumiem pańskie zdumienie. W dwudziestym pierwszym wieku nagle wywleka się na światło dzienne jakieś tam stare marynarskie bajeczki. Czy to są bajeczki, czy nie, będzie można definitywnie wyjaśnić dopiero teraz. Paradoks? Nie, nie ma tu żadnego paradoksu. Zoologowie do tej pory spierają się o istnienie pewnych przedstawicieli fauny lądowej. A gdy w zeszłym wieku uczeni odkryli ryby trzonopłetwe, nie chcieli wierzyć własnym oczom. Przed tym odkryciem

uważano, że ostatnie egzemplarze latimerii wymarły kilka dziesiątków milionów lat temu, ustępując miejsca innym gatunkom. A potem schwytano jeszcze kilka latimerii. Czyżby pan myślał, że ryby kopalne raptem zaczęły się odradzać? Nic podobnego, po prostu nauka rozszerzyła front poszukiwań. I coraz więcej latimerii zaczęło wpadać w ręce uczonych. Niech pan sobie przypomni, że badania oceanów, na całej ich powierzchni i głębokości, zapoczątkowano stosunkowo niedawno. A zjednoczenie wysiłków naukowców całego świata nastąpiło jeszcze później.

– No, ale do tej pory żaden z naukowców nie widział węża morskiego – zauważyłem.

– Niewykluczone, że istnieją zaledwie pojedyncze egzemplarze tych węży – powiedział z powagą Ławrow – i może właśnie te ostatnie egzemplarze znalazł Kałabuszew w ich ostatniej kryjówce.

– Przedtem, w dawnych wiekach, jakoś te węże częściej pokazywały się ludziom, nie krępowały się.

Oczywiście, jeśli mamy wierzyć bajeczkom, którymi zapchane są szafy Kałabuszewa.

– Kałabuszew sądzi, że węże morskie są stworzeniami głębinowymi – z taką samą powagą wyjaśniał Ławrow – a na powierzchnię morza wypływały tylko ich trupy. Falowanie, wiatr i wyobraźnia ożywiały je w oczach marynarzy, a potem trupy te były zjadane przez ptaki i ryby. Stworzenia wymierały, no i dlatego przestano je spotykać. Ale może jednak przynajmniej jedna para gdzieś jeszcze istnieje.

– Osobiście...

– Jestem naukowcem – przerwał mi sucho Ławrow – wszystkie tam „wierzę” czy „nie wierzę” nie wchodzą w zakres nauki.

– Chciałem po prostu powiedzieć – błyskawicznie odparowałem – że Kałabuszew być może właśnie w tej chwili przeprowadza wywiad z ostatnim z ostatnich spośród tych ostatnich węży, a ja osobiście zrobię wszystko, aby ten wywiad nie był stracony dla nauki. Nie gwarantuję, że dostarczę panom żywego węża morskiego, ale Kałabuszewa postaram się odnaleźć.

Moja czupurność nie bardzo ich zdziwiła. Najprawdopodobniej coś już o mnie słyszeli.

– Doskonale – powiedział Agapow. – Zawsze uważałem, że prawidłowy dobór składu osobowego wyprawy stanowi połowę jej sukcesu. Kiedy pan jest gotów wyruszyć, kapitanie?

– W ciągu piętnastu minut po otrzymaniu odpowiedzi na moje ostatnie pytanie.

– Słucham pana?

– Co panom wiadomo o cechach charakteru Kałabuszewa? Przecież, panowie, podobno, doskonale go znacie.

– Rozumiem, powinienem, właściwie muszę, powiedzieć panu wszystko to, co może ułatwić panu poszukiwania.

– Właśnie. Ja muszę wyobrazić sobie, jak by postąpił Kałabuszew w tym czy innym wypadku. Jak by postąpił człowiek o charakterze podobnym do mojego, wyobrażam sobie doskonale. Jak postąpi Titow, wiem precyzyjnie i z całą dokładnością. O jego hipotetycz-

nych reakcjach mogę panom powiedzieć więcej niż o swoich. Jak więc widzicie, panowie, w równaniu tym jest tylko jedna niewiadoma, od której zależy wszystko. Nie jestem psychologiem, ale będę zmuszony zająć się psychologią.

– Trudno powiedzieć, jak postąpi człowiek w nieprzewidzianych okolicznościach – w zadumie powiedział Agapow – wiemy tylko jedno, że Kałabuszew jest bardzo uparty. Wężę morskie traktuje jako przedmiot kolekcjonerstwa. Może pan sobie wyobrazić, do czego zdolny jest człowiek ogarnięty taką namiętnością, gdy ma możliwość uzupełnienia swojej kolekcji. No... powiedzmy sobie, najmniejszą rzeczą, jakiej mógłby oczekiwać, byłaby fotografia węża morskiego! Albo fotografia tego, co dotychczas uważano za węża. Co tu jeszcze można powiedzieć? Jest nieustraszony. Ten człowiek w ogóle nie zna lęku. Nie wiem, czy w sytuacji, z jaką mamy do czynienia, nie komplikuje to jeszcze bardziej sprawy. Z zawodu jest speleologiem.

– Speleologiem! – potarłem czoło. Tego jeszcze brakowało do pełni szczęścia!... Przypomniałem sobie opublikowaną niedawno statystykę Urzędu Kontroli Bezpieczeństwa Pracy. Wynikało z niej, że jeśli chodzi o ilość nieszczęśliwych wypadków, speleologowie zajmują jedno z pierwszych miejsc spośród innych przedstawicieli zawodów badacza. Potrafią wleźć w takie mysie dziury, że wystarczy minimalne przemieszczenie się masy skał, aby doszło do niebezpiecznych następstw. Główną przyczyną wypadków, jak

wyjaśniał przedstawiciel Urzędu Kontroli Bezpieczeństwa Pracy, jest nieumacnianie ścian i pułapów pieczar i tuneli; odkrywcy chcą bowiem pozostawić badany obiekt w stanie nienaruszonym dla następnych badaczy i speleologów, którzy przyjdą po nich. Ci, którzy ulegali wypadkom, z reguły chcieli najpierw zbadać odkrytą przez nich pieczarę, czy inną rozpadlinę skalną, w takim stanie, w jakim ją stworzyła przyroda, a dopiero potem mieli zamiar budować zapasowe wyjścia, wiercić komfortowe sztolnie, stawiać ściany zabezpieczające i siatki ochronne. Dalej, jak pamiętam, umieszczone były w publikacji zalecenia Urzędu Kontroli Bezpieczeństwa Pracy, mające na celu pogodzenie wymagań nauki z możliwie bezpiecznym przebywaniem ludzi w podziemiu. Wątpię tylko, czy te użyteczne i rozsądne rady dotarły do świadomości Kałabuszewa.

– Wszystko jest dla mnie jasne i zrozumiałe. Natychmiast wyruszam.

– Na lotnisku już pana oczekują – powiedział Ławrow.

II

W epoce floty żaglowej, w czasie gdy węże morskie były zjawiskiem równie częstym jak nie zapowiedziane sztormy i sztyle, każdy przyzwoity opis podróży morskiej zaczynał się od podania charakterystyki statku.

„Siedemnastego czerwca 1741 roku wstąpiłem na pokład «Sydonii» – przeczytałem w jednej z fotokopii, których paczkę doręczono mi, bym przejrzał w czasie podróży. – «Sydonia» była uroczym trójmasztowym szkunerem o wyporności pięciuset ton i o tak eleganczkich kształtach, że musiały one wywoływać zachwyt każdego prawdziwego marynarza”.

Postanowiłem, że nie warto łamać tej tradycji, tym bardziej że jakiś młody bohater wstępujący na pokład uroczej „Sydonii” miał po pewnym czasie możliwość zobaczenia na własne oczy węża morskiego, co być może i mnie jest pisane.

Na pokład „Rai” „wstąpiłem” na lądzie. Ludzie nie będący specjalistami-podwodniakami na pewno nie mają pojęcia, jak wygląda i co jest warta „Raja”. W żadnym wypadku nie jest podobna do znanych wszystkim, ogromnych automatycznych drąg, gigantycznych maszyn pełzających po dnie oceanu i zbierających rudę podobną do rozsypanych kartofli. Niewielkie jest również podobieństwo do głębokowodnych statków badawczych, a tym bardziej do statków turystycznych, wycieczkowych, których ryciny i fotografie można obejrzeć nieomal w każdym czasopiśmie ilustrowanym. „Raja” nie ma ani gigantycznych

rozmiarów, które mogą wpływać na wyobraźnię, ani żadnych potężnych pionowych czy poziomych śrub, ani silników odrzutowych, ani też, trzeba tu dodać, żadnego komfortu w urządzeniu wnętrza.

Wyobraźcie sobie, państwo, prawidłową kulę z przezroczystego materiału, o średnicy około dwóch metrów. Kula, podobnie jak planeta Saturn, opasana jest wydłużonym pierścieniem podobnym do eliptycznego placka. „Placek” jest grubszy w miejscach, w których styka się ze statkiem, jest natomiast zupełnie cieniutki na krawędziach zewnętrznych.

I to właściwie wszystko. Jeżeli oczywiście nie będziemy mówić o tysiącach dodatkowych urządzeń. Trudno jest na pierwszy rzut oka zauważyć, że ta przezroczysta kula składa się z dwóch kul włożonych jedna w drugą. Kula wewnętrzna stanowi gondolę, w której siedzę. Jest tak wyważona w stosunku do środka ciężkości, że moje siedzenie i wolny fotel obok mnie, wszystkie przyrządy pokładowe i dźwignie sterujące zajmują zawsze jedno i to samo położenie, równoległe do powierzchni ziemi, niezależnie od tego, jak aktualnie zachowuje się powłoka zewnętrzna, połączona z tym swoim eliptycznym plackiem. „Raja” może płynąć chociażby do góry brzuchem i ja tego nawet nie zauważę. Jeśli chodzi o eliptyczny pierścień, nazwany przeze mnie „plackiem”, to stanowi on jednocześnie część zewnętrznego korpusu statku, silnik, pędnik, jak również urządzenie czujnikowe statku. Elastyczny korpus zewnętrzny jest jakby umięśnionym ciałem, które może przyjmować najbardziej różnorodne formy,

zginać się, dokonywać ruchów drgających w całości lub w pewnych swoich fragmentach. Jednym słowem, może płynąć w sposób naturalny, niewymuszony, po prostu jak zwierzę, od którego nazwano stateczek, jak rają.

Jeżeli chodzi o zwrotność, o zdolność manewrowania, nie było jeszcze na świecie lepszego aparatu do pływań podwodnych. Aparat ten jest przeznaczony do dokładnego badania łańcuchów górskich i dolin, wąskich kanionów i kraterów wulkanów podwodnych. Pod względem bezpieczeństwa pływania „Raja” nie ma sobie równych.

Pod wodą pływam już całe lata i nie zdarzyło mi się widzieć, aby jakakolwiek ryba lub inne stworzenie morskie utkwilo w szczelinie skalnej. Ostatni model „Rai” przewyższa, pod względem zwrotności, zdolności manewrowania i szybkości reagowania na niebezpieczeństwa grożące ze strony otaczającego środowiska, wszystkie ze znanych nauce zwierząt morskich. Kałabuszewowi wybrano dobry statek. „Raja” może swobodnie, z dużym zapasem odległości, uciec przed każdym wężem morskim, albo też sparaliżować go ładunkiem elektrycznym, gdyby okazało się to konieczne.

A więc siedziałem w kabinie, a „Raja” wisiała pod brzuchem helikoptera, który leciał z wielką szybkością do oddalonego sektora Oceanu Indyjskiego. Wolałem zająć miejsce w kabinie jeszcze na lotnisku. Oczywiście urządzenia hermetyzujące działają równie dobrze na powietrzu, jak i w wodzie, ale załadunek pasażerów na „sucho” zajmuje mniej czasu i poza tym, cokolwiek

by się mówiło, jest bezpieczniejszy. Nie chciałem ryzykować tego, że jakaś tam śrubka czy nakrętka znajdzie się nie na swoim miejscu i z takiej błahej przyczyny trzeba będzie powtórnie regulować całe urządzenie, bo automaty nie zgodzą się na zanurzenie „Rai”. Mnie osobiście niczym by to nie groziło, ale Kałabuszew i Titow musieliby czekać na mnie znacznie dłużej. Starzy podwodni wyjadacze, nauczeni doświadczeniem, liczą się z możliwością powstawania awarii nawet w wyniku niebrania pod uwagę takich właśnie drobiazgów jak ten, o którym przed chwilą wspomniałem, a o których to drobiazgach nie zawsze „pamiętają” pokładowe mózgi elektronowe.

Pomyślałem o Titowie i Kałabuszewie. Kałabuszew jest odważny, ale wydawało mi się, że ta jego odwaga, to jego męstwo, nie wiem jak to nazwać, jest odwagą szaleńca, człowieka owładniętego pasją. Natomiast wyprowadzenie z równowagi Titowa jest rzeczą prawie zupełnie niemożliwą.

Prawie... hm... zacząłem mieć wątpliwości. Titow znajdował się zawsze w towarzystwie podwodniaków, ludzi, którzy potrafili panować nad sobą, a przede wszystkim nieskłonnych do fantazjowania. Z partnerem tego typu co Kałabuszew zetknął się po raz pierwszy i oto siedzą obaj, zamknięci razem w ciasnej kabince. Co może zdarzyć się, jeżeli „krze-mień” Titow będzie narażony na uderzenia „krzesiwa” Kałabuszewa? Jakie mogą powstać z tego iskry? Widywałem ludzi, którzy dopiero w podeszłym wieku brali po raz pierwszy udział w polowaniu. Bywało tak,

że broń brali do ręki z ironicznym uśmieszkiem, ale natychmiast po pierwszym strzale przeobrażali się zupełnie. Czy pasja kolekcjonera, lub też myśliwego, nie mogła zawładnąć również Titowem?

Przerzucając otrzymany od Komisji plik fotografii zacząłem wnikliwie wpatrywać się w tę, która wywołała całą awanturę. Było to zdjęcie przekazane przez kamerę telewizyjną, opuszczoną na linie z pokładu badawczego statku nawodnego na dno oceanu. Prosto w kamerę patrzyła morda jakiegoś potwora. Troje oczu na czole połyskiwało chłodno i bezmyślnie. To był wzrok stworzenia stojącego na bardzo niskim stopniu rozwoju. Stworzenia działającego bez żadnego udziału świadomości, instynktownie, odruchowo, zupełnie jak automat. Straszny wzrok, od którego dostawało się gęsiej skórki. Szeroko otwarta paszcza świadczyła o doskonale rozwiniętej funkcji chwytania. Potężny potrzask z nierównymi, topornie obrobionymi zębami. Trudno było mówić o rozmiarach paszczęki, ponieważ nie wiadomo było, z jakiej odległości zrobiono zdjęcie.

Widok takiego zwierzęcia mógł podniecić każdego, nie tylko opętanego manią kolekcjonerską Kałabuszewa. Łatwo mogę sobie wyobrazić, co by poczuli badacze, gdyby spotkali się z podobnym potworem twarzą w twarz.

Odwróciłem fotografię. Na odwrocie była krótka notatka sporządzona na podstawie oficjalnego protokołu naukowego. Kamera telewizyjna przekazała zdjęcie. Na ekranie monitora kontrolnego, zainstalowanego na pokładzie statku, zaobserwowano, że otwarta

paszcza nagle, gwałtownie zbliżyła się do kamery, mi-
gnął, błysnąwszy w świetle reflektora, żąb, obserwato-
rzy zobaczyli coś podobnego do gardzieli i nastąpiła
ciemność. Lina, do której była przymocowana kamera
telewizyjna, napięła się, jak gdyby to była żyłka, na
końcu której znajduje się wielka ryba. Próby wycią-
gnięcia zdobyczy na powierzchnię nie powiodły się. Po
dziesięciominutowej walce, kiedy podciągano
i luzowano linę za pomocą windy, przerwała się ona
i potwór, który połknął kamerę, znikł. Sądząc
z rozmiarów kamery stworzenie, które tak lekko prze-
łknęło ten „przedmiocik”, nie mogło być maleńkie.

Zoologowie nie widzieli do tej pory nic podobnego
i nic podobnego nie opisano dotychczas w pracach
naukowych. Rozgorzała dyskusja, do której niespo-
dziewanie wtrącił się Kałabuszew, zobaczywszy foto-
grafię demonstrowaną w telewizji ziemskiej. Kałabu-
szew „rozpoznał” w nieznanym potworze węża mor-
skiego. Na dowód tego przytoczył kilka tysięcy pisem-
nych, zaprotokołowanych raportów naocznych świad-
ków i rysunki zrobione przez artystów w dawnych
wiekach.

Jeden z tych dowodów znajdował się w moich rę-
kach, w tej samej paczce fotografii i fotokopii. Trójki
potwór z otwartą paszczą polował na wątły stateczek,
uciekający pod pełnymi żaglami. Na rufie klęczał jeden
z marynarzy i wznosił ręce do nieba. Tułów węża był
ukryty w wodzie. Nad powierzchnię morza wystawały
tylko podobne do garbów wierzchołki grubych pier-
ścieni. Niezupełnie zgadzało się to z wersją Kałabu-

szewa stwierdzająca, że węże morskie wypływają na powierzchnię dopiero po śmierci, ale podobieństwo było prawie zupełne.

– Czy pan nie zasnął, kapitanie? – spytano mnie. Z ekranu patrzył na mnie uśmiechający się Agapow.

– Wszystko w porządku. Usiłuję zbudować jakąś, mniej lub więcej prawdopodobną, hipotezę. Nie mogę przecież prowadzić poszukiwań na oślep.

– Niech pan próbuje – poparł mnie Agapow – specjalnie przyleciałem z Księżyca, aby uczestniczyć w zakończeniu tej sprawy, i usłyszałem z dziesięć hipotez. Pańskie uwagi będą dla mnie szczególnie interesujące.

– Za podstawę mojej hipotezy przyjąłem skrajne przypuszczenie, że musiało się zdarzyć coś takiego, co spowodowało, iż nawet taki człowiek jak Titow na moment stracił głowę – powiedziałem. – Dowódcą statku był Titow, chociaż kierownikiem wyprawy mianowano Kałabuszewa. W przypadku gdyby Kałabuszew zażądał od Titowa wykonania jakiegoś nierozsądnego, sprzecznego z instrukcją manewru, ten, jako odpowiadający za powierzony mu statek, mógł odmówić wykonania rozkazu. Z drugiej zaś strony – Titow, gdyby nawet zdecydował się na przedsięwzięcie czegoś wykraczającego poza ramy instrukcji, natychmiast by o tej decyzji poinformował statek patrolujący na powierzchni Oceanu, w rejonie badanego kanionu. Wniosek nasuwa się sam: Titow po prostu nie zdążył tego zrobić. Musiało zupełnie niespodziewanie wyda-

rzyć się coś takiego, co momentalnie wyeliminowało Titowa z „gry”.

– Na przykład „Raja” wpadła na skałę podwodną, ponieważ odległościomierz ultradźwiękowy na skutek uszkodzenia „pomylił się” w ocenie odległości?

– Nie, to niemożliwe. W podobnym wypadku automaty awaryjne przekazałyby na powierzchnię sygnał SOS.

– A więc...

– Rozumując logicznie – westchnąłem – musimy dojść do wniosku, że Titow stracił możliwość działania nie na skutek jakiejś fizycznej przeszkody, a w następstwie jakiegoś czynnika psychologicznego.

– Czy nie chce pan przez to powiedzieć, że Titow mógł po prostu... oszaleć?

– Nie, Titowa mogło po prostu coś bardzo zadziwić. Mogło to trwać zaledwie ułamek sekundy i niewątpliwie za chwilę przyszedł już do siebie, ale wtedy było za późno na jakiegokolwiek działanie.

– To znaczy, że natknęli się na węża morskiego?

– Musieli zobaczyć coś, co głęboko wstrząsnęło Titowem.

– I to „coś” było szybsze i pierwsze napadło na „Raję”?

– Pan zbyt upraszcza – powiedziałem. – „Raja” jest silnie zautomatyzowana. Urządzenia obronne odparłyby atak, a automat awaryjny przekazałby na powierzchnię sygnał alarmowy wraz z dokładnym raportem o wypadku. Mielibyśmy wówczas szpulkę z magnetycznym zapisem wszystkiego, co wydarzyło

się na dnie morza. A my nie dysponujemy ani jednym zdjęciem.

Rozmowa utknęła na martwym punkcie.

Poprzez przezroczyste dno kabiny widziałem powierzchnię Oceanu. Wzdłuż toru, wyznaczonego przez pływające radiolatarnie, płynęły ogromne frachtowce towarowe. Wielkie statki o eleganckich, opływowych liniach posuwały się szykiem torowym, zachowując równe odstępstwa między sobą, jak na defiladzie. Obraz, widziany przeze mnie, niewiele miał wspólnego z fotokopiami, które w dalszym ciągu trzymałem w ręku. Przelecieliśmy nad Wielką Drogą Transoceaniczną, łączącą porty będące końcowymi stacjami transkontynentalnej kolei żelaznej. Pociągi załadowane towarami przekraczały Ocean na pokładach statków, aby po przybyciu do portu przeznaczenia kontynuować podróż o własnych siłach.

I znowu pode mną rozpościerała się pustynia wodna. Wkraczaliśmy w obszar, przez który nie przebiegała żadna regularna linia żegluga.

Bezpośrednio pode mną przepłynęło stado wielorybów. Małeńkie, zwinne stateczki płynące po bokach i z tyłu stada pełniły rolę pastuchów. Stateczki mogły nurkować i płynąć pod wodą nie gorzej od swoich „podobnych”. Wiedziałem, że stateczki te wytwarzają w wodzie pole elektryczne, stanowiące jakby ruchomą zagrodę nie pozwalającą wielorybom na ucieczkę.

Przodem płynęły wieloryby-przewodnicy stada. Były to zmechanizowane atrapy tych ogromnych ssaków, tak idealnie wykonane, że mimo usilnego wpa-

trywania się, nie byłem w stanie znaleźć jakiegokolwiek różnicy pomiędzy żywymi zwierzętami i ich imitacją. Przewodzące stada „wieloryby” spokojnie pruły wodę, posuwając się naprzód za pomocą ruchów potężnego ogona. Czasami dla zabawy wyskakiwały z wody, ukazując szerokie grzbiety, lub zanurzały się pod powierzchnię i po wypłynięciu wyrzucały wysokie fontanny rozpylonej wody. Wszystkie te ewolucje wykonywane były w sposób absolutnie naturalny. Pozostałe, na pewno żywe wieloryby, płynęły z tyłu.

Wielorybom wydawało się pewnie, że płyną w kierunku, jaki same sobie obrały. W rzeczywistości zaś przeganiało je na „pastwiska” obfitujące w plankton.

Wreszcie zobaczyłem niewielki statek zakotwiczony na środku Oceanu. Była to jednostka przeznaczona do badań hydrograficznych – „Poszukiwacz”.

– Uwaga! – powiedział Agapow.

III

Zrzucano mnie z zachowaniem wszelkich prawideł sztuki. Opadam jak nasionko wiązu. Krótkimi zakosami szybuję w powietrzu, prawie pionowo dotykam powierzchni wody i natychmiast tonę. Po upływie minuty włączam silniki. Ciało „Rai” zaczyna łagodnie falować i w tej samej chwili pojawia się rekin.

Takiego pięknisia nie widziałem jeszcze nigdy w życiu. Gdy zataczał wokół mego stateczku pierwsze koło i jego ciało przesunęło się przed moimi oczami, wydawało mi się, że to cielsko nie ma końca. Proszę sobie tylko nie myśleć, że to było moje pierwsze spotkanie z rekinem tygrysim. Ale o takich egzemplarzach opowiadano tylko legendy. Rekin najwidoczniej był wygłodzony. Polowanie na wieloryby zabezpieczone silnym polem elektrycznym nie było sprawą prostą. „Raja” interesowała go wyłącznie jako potencjalne pożywienie. Nie mam pojęcia, czym wydawała się rekinowi pływająca w wodzie, poruszająca całym ciałem, „istota”, w każdym razie po powtórnym okrażeniu bezwzględnie rzucił się do ataku.

Drapieżnik wpił się zębami w samą krawędź eliptycznego „placka”, jakby miał zamiar odgryźć kawałek. Ale cieniutka krawędź płetwy była twardsza od stali. Włączyłem prąd. Sierpowata paszczyka rozwarła się, długie cielsko obróciło do góry brzuchem i zeszywniałe jak pień drzewa zaczęło powoli wypływać na powierzchnię.

– Możecie wyłowić moją zdobycz – powiedziałem do mikrofonu. – Przyda się jakiemuś muzeum zoologicznemu.

– Niech pan nie wyłącza napięcia z powłoki statku – poradził Agapow.

Zdażył już przesiaść się ze śmigłowca na pokład „Poszukiwacza”. Mógł obserwować położenie mojego stateczku, automatycznie notowane na ekranie zaopatrzonym w skalę głębokości. Zacząłem się zastanawiać, w jaki sposób obserwatorom znajdującym się na pokładzie „Poszukiwacza” „udało się” stracić z oczu statek Titowa. Przecież na ekranie uwidacznia się nie tylko położenie mojej „Rai”, ale również profil dna wykreślony przez echosondę.

„Raja” zanurzała się, lekko kołysząc się na boki. Później przeszedłem na opadanie wzdłuż stromej spirali. Oczywiście, przez cały czas mój fotel zachowywał niezmiennie poziome położenie, dzięki czemu mogłem spokojnie obserwować środowisko. „Placek” wokół kabiny stopniowo spłaszczal się, zmniejszając swoją objętość wraz ze wzrostem głębokości. To również był jeden z drobiazgów konstrukcyjnych, które zastosowane łącznie sprawiły, że „Raja”, pod względem pewności działania i bezpieczeństwa eksploatacji, nie miała sobie równych.

Woda coraz bardziej ciemniała i po pewnym czasie musiałem włączyć oświetlenie. Długa, chuda ryba z wybałuszonymi ślepiami podpłynęła prawie pod samą ściankę stateczku i jak zahipnotyzowana zaczęła wpatrywać się w reflektory.

Kilka ostatnich kilometrów przebyłem w zupełnej samotności. Co pewien czas kontrolowałem działanie systemu łączności. I na ultradźwiękach i na ultrakrótkich falach, mogących przeniknąć przez parokilometrową warstwę wody, aparatura działała bez zarzutu. Na swoim ekranie widziałem twarz Agapowa prawie bez zniekształceń. Patrzył na mnie z uwagą i starannie ukrywanym napięciem.

Co mogło właściwie zaskoczyć Titowa? Pomyślałem znowu o Titowie, ponieważ to właśnie on kierował „Raja I”. Nagły atak choroby? Był absolutnie zdrowy. Sprawdzano to na kilka godzin przed zanurzeniem. Poza tym automaty kontroli biologicznej zanotowałyby i przekazały na powierzchnię wszelkie zmiany w jego organizmie, które mogły mieć wpływ na sprawność działania. Siedzę swobodnie rozparty w fotelu, wpatruję się w opalizującą mgłę zamkniętą ścianą ciemności, mruczę coś pod nosem, a na pokładzie „Poszukiwacza” wiedza, jaki mam puls, słyszą mój oddech i w ogóle badają nie mniej dokładnie niż w doskonale wyposażonej klinice.

Zapiszczały sygnały echosond. Na wszystkich ekranach pokazały się skały. Otaczały kabinę „Rai” tak szczelnie, jakby chciały ją zmiażdżyć. W tym samym momencie echosonda denna „zameldowała”, że za chwilę dotknę gruntu. Najwidoczniej znalazłem się w zagłębieniu między skałami. Czy przypadkiem „Raja I” nie wpadła do podobnej studni? Nie, echosondy zaraz by to wykazały.

Ostrożnie manewrując wydostałem się z pułapki.

– Co się z panem dzieje? – zapytał Agapow. Na jego ekranie kontur dna był widoczny tylko w ogólnych zarysach.

– Wszystko w porządku – odpowiedziałem prowadząc „Raję” między dwoma prawie pionowymi skałami.

– Niech się pan nie spieszy – radzi Agapow – proszę zbadać każdy metr.

Na chwilę przychodzi mi do głowy zupełnie fantastyczna myśl. A może tu gdzieś na dnie leży statek, który zatonął przed wiekami, i „Raja I” wśliznęła się doń przez otwarty luk, a potem utknęła w którejś ze zniszczonych ładowni? Metalowy korpus statku ekranizuje fale radiowe i dlatego też nastąpiło przerwanie łączności. Ale nie, ta wersja odpada. Titow w żadnym wypadku nie polazłby do wnętrza zatopionego okrętu, nie uprzedziwszy przedtem załogi „Poszukiwacza” i nie otrzymawszy na to zgody. A Kałabuszewowi nie mogło zależeć na takim ryzykownym eksperymencie. Węże morskie prawdopodobnie nie gnieździły się w zatopionych okrętach.

Wyostałem się na względnie swobodną przestrzeń. Przede mną leżał wąski i głęboki kanion. Zdecydowałem się iść nad samym dnem. Echosonda rysowała na przednim ekranie obraz rozpadliny aż do jej zakrętu. Reflektor, który włączyłem, rozcinał ciemną wodę na przestrzeni kilkudziesięciu metrów. Obserwowałem bliskie i dalekie cienie.

Po lewej stronie mrok był bardziej gęsty. Zbliżyłem się tam, zapaliłem dodatkowy reflektor i zobaczyłem, że ściana kanionu jest w tym miejscu jakby podmyta.

Na dole wytworzyło się coś podobnego do płytkiego koryta.

– Poszukam w tej szczelinie – powiedziałem do Agapowa.

Nie odpowiedział. Popatrzyłem na ekran – był pusty. Przyrządy kontrolujące działanie łączności stwierdziły jej brak.

Aparatura nie mogła zepsuć się. Lampki indykatyrowe, kontrolujące jej działanie, świeciły pełnym blaskiem. Wszystko było w porządku. Gdyby było inaczej, już dawno ogłuchłbym od wycia syreny alarmowej.

Machinalnie podniosłem oczy do góry. W wypadkach gdy mamy jakieś trudności, zazwyczaj szukamy rozwiązania na suficie. I tam właśnie zobaczyłem odpowiedź na pytanie, dlaczego nie ma łączności. Skały, które zawisły nad moją „Rają”, odcinały ją od świata zewnętrznego. Ani ultradźwięki, ani fale ultrakrótkie nie mogły dotrzeć do „Poszukiwacza”. Dla obserwatorów na górze po prostu zniknąłem, zarówno z ekranu, jak i ze wszystkich innych kanałów łączności. „Poszukiwacz” powinien przesunąć się nieco w prawo od mojego kursu i łączność momentalnie pojawiłaby się na powrót. Zanim wlażłem w tę dziurę, powinienem omówić z dowódcą „Poszukiwacza” ten manewr łączności. Teraz należało jak najszybciej wyjść spod przewieszki, a wtedy natychmiast mnie zobaczą i usłyszą.

Wyglądało na to, że podobną omyłkę zrobił Titow. Drobny błąd, który popełniłem, pomógł mi odkryć przyczynę nieoczekiwanej przerwy w łączności z „Rają”

I”. Rozwiązanie zagadki okazało się śmiesznie proste. Niestety, podobne, elementarne głupstwa popełniają nawet najbardziej doświadczeni podwodniacy.

Wyciągnąłem rękę w kierunku dźwigni i... zamarłem. W przodzie, w głębi kanionu, poruszało się i zwijało jakieś długachne cielsko. Jestem zwolennikiem dokładności i precyzji we wszystkim, co robię, ale mimo że starałem się z zimną krwią, na jaką mnie było stać, określić rozmiary potwornego stworzenia, nieomalże w całości zapełniającego kanion, na oko wydawało mi się, że ma nie mniej niż sto metrów. Nie uwierzyłbym nikomu, kto próbowałby mi o czymś takim opowiedzieć. Ale nie mogłem nie wierzyć własnym oczom.

Natychmiast zdjąłem rękę z dźwigni sterującej. Zanim wyprowadzę „Raję” ze szczeliny, należało coś obmyśleć. Spróbowałem zmierzyć odległość dzielącą mnie od węża – tak będę na razie go nazywał – za pomocą radarowego odległościomierza. Przy okazji chciałem dokładniej określić jego rozmiary. Ale promień odległościomierza grzązł w przewieszonych skalach. Przecież w dalszym ciągu znajdowałem się w tym niebezpiecznym kanionie.

Ze swojego bocznego miejsca, mocno przechyliwszy się w prawo i przycisnąwszy twarz do ścianki kabiny, mogłem zupełnie dokładnie widzieć kołyszącego się leniwie potwora.

Gdzieś w podświadomości zaświtała wątpliwość, czy moja „Raja” posiada wystarczającą ilość energii, aby ogłuszyć takie ogromne bydlę. A co będzie, jeżeli

wąż sam potrafi wytwarzać ładunki elektryczne, jak się to często zdarza mieszkańcom głębin? Jakim ładunkiem ewentualnie rozporządza? Przecież sądząc z jego rozmiarów, musiałaby to być prawdziwa elektrownia, o mocy takiej, że w porównaniu z nią zapasy energetyczne „Rai” nic by nie znaczyły. Spojrzałem jeszcze raz na węża i dostrzegłem coś, co momentalnie zmroziło mi krew w żyłach. Wąż wygiął się i zobaczyłem dziwne zgrubienie w samym środku jego tułowia. Nie wiem, czy zdarzyło się wam widzieć, w jaki sposób wąż połyka żabę? Gady mają głowę szerszą od pozostałej części ciała. Uchwyciwszy zdobycz w zęby, zwierzę połyka swoją ofiarę naciągając się na nią, w ten sam sposób, w jaki my zakładamy rękawiczkę lub skarpetkę. Gdy spojrzymy na węża, który niedawno spożył swój posiłek, zobaczymy gdzie aktualnie znajduje się nieszczęsna żabka i zaobserwujemy, jak zwierzątko, w wyniku robaczkowych ruchów jelit węża, przesuwa się coraz bliżej żołądka gada.

Zupełnie taki sam obrazek miałem przed sobą. Gigantyczny wąż połknął najwidoczniej coś, co z trudem mieściło się w jego tułowiu. Najstraszniejsze było to, że „pokarm” ten miał owalny kształt i rozmiary „Rai”.

Nie traciłem czasu na rozmyślenia. Trzeba natychmiast atakować i przeciąć, obojętnie, w jaki sposób, brzuch węża, chociażby potem mieli mnie przekląć wszyscy biologowie świata za to, że nie zatroszczyłem się o zachowanie przy życiu potwora, którego nikt jeszcze nie widział. Muszę podkraść się do węża

możliwie najbliżej i napaść na niego, zanim mnie zauważy. Przecież nawet gdyby nie chciał mnie atakować, może po prostu uciec.

Zacząłem ostrożnie przesuwać się do przodu. W kanionie występuje dosyć silny prąd, jaki często zdarza się na większych głębokościach, i prąd ten trochę utrudniał moje manewry. W czasie wykonywania jednego z nich, straciłem węża z pola widzenia.

Kanion w tym miejscu wyginał się. Ostrożnie zbliżyłem się do zakrętu. Zaledwie zdażyłem wysunąć spoza zakrętu dziób „Rai”, gdy nagle, prosto przede mną, zobaczyłem ogromną, otwartą paszczę gada.

Działo się to wszystko w ułamkach sekund. Zdażyłem jednak zauważyć troje zimnych oczu, patrzących na mnie bez mrugnięcia, i nierówne zęby, które zabłysły w świetle reflektora. A potem paszcza rzuciła się na mnie.

Zdażyłem wcisnąć guzik ochronnego pola elektrycznego. Nie wywołało to żadnej reakcji odwetowej. Sygnały alarmowe echosond żałośnie piszczały, krzycząc o niebezpieczeństwie grożącym ze wszystkich stron, o tym, że znalazłem się w zamkniętej przestrzeni. Gwałtownie włączyłem całą wstecz. Po przepłynięciu nie więcej niż trzech metrów „Raja” wparła się giętką płetwą w jakąś przeszkodę. Przeszkoda nie ustępowała pod naciskiem. Uderzyłem w nią z rozpędu jeszcze dwa razy, bez rezultatu.

Wówczas wyłączyłem silnik. Cóż mi jeszcze pozostawało do zrobienia? „Raję” natychmiast zaczęło gnać do przodu, albo co będzie właściwszym określeniem,

do wnętrza przejścia, w którym się znajdowałem. Echosondy kreśliły na ekranach obraz ścian otaczających mnie, w minimalnej odległości, ze wszystkich stron. A w świetle reflektora rozróżniałem niejasne, rozmyte plamy na ciemnym tle. Plamy poruszały się, a korpus „Rai” drgał na skutek uderzeń, jakimi stateczek był bombardowany. Drgania przypominały mi robaczkowy ruch jelit. Zastanawiałem się tylko, jak to się mogło stać, że to „coś”, które połknęło moją „Raję”, nie udławiło się nią. W każdym razie, jak do tej pory, w środku nie było zbyt ciasno.

Zanim zdążyłem wyjaśnić swoje wątpliwości, przejście, przez które drobnymi ruchami przesuwana była „Raja”, nagle zwięzło się. Teraz ściany prawie dotykały kabiny. Ale stateczek poruszał się. Był przepychany drobnymi skokami do przodu. Wydawało mi się, że moja droga nie jest prosta, a prowadzi przez liczne zakręty i wiraże. Nie wykluczone, że bestia zatacza w tej chwili swoim ciałem „ósemki”.

Nie bałem się. Jeżeli nawet rzeczywiście zostałem połknięty przez węża, zawsze zdążę jeszcze przeciąć go od środka nożem ultradźwiękowym i wówczas może połykać mnie od nowa, tak długo, dopóki mu się ta cała zabawa nie znudzi lub dopóki do jego tępej mózgowicy nie dojdzie, na czym tu rzecz polega. Wyglądało na to, że wąż chwycił wszystko, co pojawiło się przed jego paszczą, zupełnie odruchowo, jak automat, któremu zadano taki program. Nie rozumiałem tylko jednego. Dlaczego załoga „Rai I” nie użyła noża ultradźwiękowego? Być może Titowowi stało się coś,

a Kałabuszew nie umie się posługiwać nożem. A może ten uparciuch zdecydował się na zamieszkanie wewnątrz gada, bojąc się go uśmiercić, bo byłby wtedy stracony dla nauki? Być może również, że przysłała mu do głowy inna myśl: czekał, aż węża schwytają ratownicy i zoperują go według wszelkich prawideł sztuki chirurgicznej, pod narkozą i z założeniem równiutkich szwów pooperacyjnych?...

No nie, do takich ofiar nie jestem zdolny. Zobowiązałem się odnaleźć Kałabuszewa, a nie wzbogacać dietę węża morskiego, obojętne, jakich by to zwierze było rozmiarów i jaką wartość dla nauki przedstawiało. Ale może ta przedpotopowa bestia jest opancerzona i nie da się jej rozciąć od wewnątrz słabym promykiem ultradźwiękowym? Konstruktorzy „Rai” nie przewidywali walki z takim przeciwnikiem...

Seria drobnych pchnięć wywołała nieprzyjemną wibrację kadłuba. Silniejsze uderzenie rzuciło mnie na deskę rozdzielczą i w następnym momencie „Raja” prześliznęła się przez przewężenie. Zobaczyłem w przodzie...

Miałem ochotę uszczypnąć się. Zobaczyłem przed sobą świetlną plamę. Plama miała prawidłową, krągłą formę i szybko zbliżała się. Rozpoznałem... „Raję I”. Tak, „Raja I” prawie do połowy była pogrążona w czymś nieokreślonym, podobnym do mięśni czy innych tkanek. Samym skrajem eliptycznego dysku wysuwała się w moim kierunku. Kabina świeciła się. Wewnątrz, jakby w jakimś fantastycznym akwarium, widać było dwóch mężczyzn.

W ten sposób doszło do naszego spotkania. Włączyłem światło i natychmiast zostałem zauważony.

Na wierzchu i pod spodem każdej kabiny znajdowały się włązy zamykane pokrywami. Niewielkie, ale wystarczająco duże, żeby przecisnął się przez nie człowiek. Gdybym mógł umieścić swoją kabinę prosto pod kabiną „Rai I”, albo też nad nią, uchwyty znajdujące się naokoło luków zaczepiłyby się o siebie hermetycznie i w ten sposób powstałby jeden statek z dwupiętrową kabiną sterowniczą. Niestety brak miejsca nie pozwalał na wykonanie tego manewru. Gdyby udało mi się doprowadzić do zetknięcia kabin, moglibyśmy swobodnie komunikować się ze sobą, jak również płynąć bez rozdzielania statków. Płetwy pracowałyby synchronicznie i statki tworzyłyby jeden organizm. Co prawda, w ciasnym pomieszczeniu, w którym się znajdowaliśmy, taka dwójka mogłaby mieć trudności w poruszaniu się, ale w naszym położeniu, być może, wygodniejsze byłoby zwiększenie rozmiarów statku. A połączenie naszych wysiłków na pewno byłoby nam na rękę.

W ogóle, jeżeli człowiek nie jest sam, to już ten fakt wyraźnie podnosi go na duchu. Podprowadziłem swoją „Raję” jak mogłem najbliżej statku Titowa. Wyregulowaliśmy oświetlenie, żeby móc nawzajem dokładnie się widzieć. Titow, krępy, niski, siedział w fotelu, odrobinę wcisnąwszy głowę w ramiona i wyglądał tak samo spokojnie, jakby znajdował się u siebie w domu. Kałabuszew powitał mnie burzliwie, z zachwytem podnosząc obie ręce do góry. Był to

blondyn z bardzo jasnymi oczami, o płaskiej budowie ciała. Idealna budowa dla speleologa. Przeciśnie się tam, gdzie ja i Titow na pewno utkniemy jak korki wciśnięte do butelki.

– Jak leci? – spytałem.

Łączność pomiędzy nami działała doskonale.

– Czekaliśmy na ciebie – powiedział Titow. – Zastanawiałem się ciągle, kto do nas przyplynie.

Wystarczyło na niego spojrzeć, aby zrozumieć: ten człowiek ani na minutę nie wątpił, że pomoc przybędzie i po prostu czekał na nią. Z nim było wszystko w porządku.

– A jak panu podoba się sytuacja? – spytałem Kałabuszewa.

– Zachwycająca! – wykrzyknął. – O czymś podobnym można jedynie marzyć.

Na jego twarzy pojawił się zachwycony uśmiech. „No tak – pomyślałem – tutaj też wszystko jest jasne”.

– No... co powiecie, panowie, na temat węża? – zadałem trzecie pytanie.

Titow w milczeniu wzruszył ramionami.

Kałabuszew beznadziejnie machnął ręką.

Pomilczałem chwilę. Nie bardzo mi się chciało robić z siebie idiotę, ale przecież to wszystko nie przyśniło mi się.

– W jaki sposób będziemy się stąd wydostawać? – spytałem.

– Normalnie – powiedział Titow. – Wyciągniesz nas za ogon i to wszystko.

– Nawet przykro to zostawiać – z goryczą powiedział Kałabuszew. – Ale my tu jeszcze wrócimy! – pocieszył się.

– No cóż, jak za ogon to za ogon. – Chciałem jak najszybciej zacząć działać. – Nie będziemy na nic czekać.

Obróciłem swoją „Raję” w ten sposób, żeby jej dziób położył się na rufie „Rai I” (określenie „dziób” czy „rufa” w przypadku „Rai” są, powiedziałbym, względne).

Włączyliśmy przyssawki i nasze stateczki stworzyły jedną całość. Rufa mojej „Rai” zaczęła pracować pełną parą, ale „Raja I” utknęła na dobre. Moja „Raja” kręciła się, wierciła, wyginała na wszystkie strony, jak okoń na haczyku, a „Raja I” stała jak przymurowana.

– Musisz i ty trochę popracować – powiedziałem do Titowa.

Titow włączył silniki swego stateczku. Działając wspólnie narobiliśmy takiego szumu, że gdybyśmy znajdowali się wewnątrz jakiegoś stworzenia, bez względu na jego wielkość, musiałyby ono poczuć uderzenia i zareagować.

Ale wokół nas nic nie drgnęło, wszystko pozostało bez ruchu jak skała. Po raz pierwszy z całą jasnością zrozumiałem, że znajdujemy się w tunelu, wewnątrz podwodnej góry. „Raja I” na skutek połączonych wysiłków dwóch maszyn zaczęła wyślizgiwać się ze szczeliny skalnej i w końcu wydostała się na swobodę.

Zdecydowaliśmy się płynąć w zespole, nie rozczepiając się. Taki sposób nawigacji wydał nam się bez-

pieczniejszy. Konstruktorzy przewidzieli możliwość łączenia stateczków. Dwie lub nawet trzy „Raje” mogły tworzyć łańcuch i płynąć razem. Powtarzam, że nie zdarzyło mi się słyszeć o bezpieczniejszej i lepiej pomyślanej konstrukcji.

– No to płyniemy do wyjścia – ożywił się Titow.

Ale w tym momencie hydrofony odebrały jakiś dziwny szum. Potem zakołysało nami. Trwało to chwilę i niebawem się uspokoiło. Ale coś zmieniło się w otaczającym nas środowisku.

– Nie ma prądu – powiedział Kałabuszew.

Rzeczywiście prąd wody, przez cały czas spychający połączone „Raje” do wewnątrz podziemnego tunelu, zniknął.

– Zawalił się strop pieczary – powiedział Kałabuszew. Pokazał ręką w kierunku wejścia.

– Trzeba zrobić mały rekonesans – zaproponował Titow.

Nic innego nam nie pozostawało. Ruszyliśmy ostrożnie, gotowi odskoczyć do tyłu przy pojawieniu się jakiegokolwiek niebezpieczeństwa.

– W jaki sposób was tutaj zaniósł? – spytałem Titowa.

– Właśnie, zaniósł – powiedział ze skruchą w głosie. – Rozumiesz, płynęliśmy wzdłuż kanionu i ciągle natrafialiśmy na jakieś otwory w prawej ścianie wąwozu. Jeden z nich wydał nam się podobny do głowy węża, a właściwie do paszczy sfotografowanej przez

„ kamerę telewizyjną. Zatrzymaliśmy się, by dokładniej to obejrzeć, wyłączyłem silnik. I na tym polegał mój błąd. Prąd wciągnął nas do wnętrza otworu i góra „połknęła” nas. Zdarzyło się to tak nieoczekiwanie, że z całej siły uderzyłem głową w ściankę kabiny. Kiedy przyszedłem do siebie, zobaczyłem, że tkwimy w szczelinie skalnej równie mocno, jak siekiera wbita w pień drzewa.

– Próbowałem włączyć silnik – wyjaśniał Kałabuszew. – Przez pomyłkę dałem całą naprzód, no i wpakowałem statek w pułapkę.

Płynęliśmy prawie bez przeszkód, tylko dwa razy na moment utknęliśmy w przewężeniach korytarza. Poprzednim razem chyba ich nie było. Ale niespodziewanie dziób mojej „Rai” oparł się o coś.

– Jesteśmy przy samym wyjściu – powiedział Kałabuszew. Zapamiętał wszystkie zakręty podziemnego korytarza i doskonale się w tym labiryncie orientował.

– Wyłączmy światło – zaproponował Kałabuszew. – Rozejrzyjmy się.

Wygasiłiśmy oświetlenie. W ciągu pierwszych dwóch czy trzech minut nie widziałem kompletnie nic. Następnie zacząłem rozróżniać rozmyte kontury nierównych ścian grotu. Zajarzyły się, a potem wypełniły jaskrawym światłem niewielkie punkciki, wyglądające jak oczy nieznanymi drapieżników. Pojawiły się słabo migające plamy. Wszystko razem przypominało fragment Drogi Mlecznej, w pobliżu ciemnej mgławicy nazywanej Głową Konia.

– To my zapaliliśmy tę iluminację – wyjaśnił Kałabuszew. – Fosforescencja.

Podczas ruchu „Raj”, ze swojej oświetlonej kabiny rozróżniałem tylko poszczególne plamy i coś podobnego do grubych macek wyciągających się w moją stronę. Teraz orientowałem się lepiej. Znajdowaliśmy się ‘ w podziemnej grocie, całkowicie wypełnionej wodą. Kiedy wzrok przywykł do ciemności, zupełnie wyraźnie widziałem jej białawe kontury.

Miałem już zupełnie sprecyzowany obraz sytuacji. Dałem się nabrać na tę samą przynętę, która skusiła Kałabuszewa i Titowa. „Raja II” tak szybko została wciągnięta przez prąd do wnętrza góry, że znajdując się jeszcze pod wrażeniem widzianego przed chwilą węża, wyobraziłem sobie, iż ten sam potwór, albo inny egzemplarz tego gatunku, napadł na mnie. Nigdy nie przypuszczałem, że ja stary, podwodny wyjadacz mogę się tak rozhisteryzować!

W prawdziwie niebezpiecznej sytuacji znaleźliśmy się dopiero teraz, gdy nas zatrzasnęło niczym mysz w pułapce. Instrukcja nie na darmo zabraniała zagłębiać się w Labirynt Tumberlinga. W pewnym stopniu usprawiedliwiał mnie fakt, że byłem święcie przekonany, iż „Raja I” właśnie w tym miejscu przedostała się do wnętrza podziemnej góry. Ale mimo to powinienem uzyskać pozwolenie na wejście do labiryntu. Titow i ja w równej mierze pogwałciliśmy instrukcję, zresztą obaj uczyniliśmy to mimowolnie. Co prawda, dzięki tym przypadkowym błędom, znalazłem „Raję I”. I w ogóle wszystko skończyłoby się dobrze, gdybyśmy

teraz potrafili przekroczyć granicę oddzielającą królestwo Plutona od obszarów pozostających we władaniu Neptuna. Ale między nami a Oceanem znajdowała się kamienna ściana. Nasze noże ultradźwiękowe oczywiście na nic się tu nie zdadzą. Konstruktorzy „Raj” budowali przecież statki podwodne, a nie kombajny górnicze.

– Nie masz przypadkiem jakiegoś materiału wybuchowego? – spytał mnie Titow.

– Niestety – rozłożyłem ręce.

– Macie szczęście – skomentował naszą rozmowę. Kałabuszew. – Stropom pieczary może znudzić się podtrzymywanie ciężaru góry. Lekki wstrząs – i grotka zniknie. Panowie również. Czyżbyście nie mieli pojęcia, jak kapryśne są pieczary?

– Znaleźliśmy się w gorszej sytuacji, niż gdybyśmy byli połknięci przez gigantycznego węża morskiego – pomyślałem na głos.

– Jaki to musiałby być wąż, żeby był w stanie nas przełknąć? – wzruszył ramionami Titow.

– Wąż powinien mieć co najmniej sześćdziesiąt metrów, jeżeli nie więcej – powiedział w zadumie Kałabuszew. – Myślę o tym, o którym panowie rozmawiali – wyjaśnił. Ten człowiek o przedmiocie swojej pasji mógł rozprawiać w każdej sytuacji.

Titow nie należał do ludzi, którzy tracą czas na rozpamiętywanie nieprzyjemności, jakie im się przydarzyły. Z wyrazu jego twarzy wywnioskowałem, o czym myślał. My wszyscy, mówię o podwodniakach, święcie wyznajemy pewną zasadę głoszącą, że nie ma sytuacji

bez wyjścia. Inna rzecz, że nie widziałem w tej chwili żadnego praktycznego potwierdzenia tej podnoszącej na duchu zasady.

– Zawalone jest główne wejście – skonstatowały Jem – ale, być może, istnieje wyjście zapasowe?

– Prąd – powiedział Titow.

– Prąd rzeczywiście gdzieś płynął – zgodził się Kałabuszew. – Jeżeli w pieczarze jest wiatr, to znaczy, że jest drugie wyjście. To samo odnosi się do prądu wody.

W takim samym zespole, z tą tylko różnicą, że moja „Raja” zajęła w nim położenie tylne, ruszyliśmy w drogę powrotną. Obróciliśmy po prostu nasze kabiny o 180°, podczas gdy korpusy zewnętrzne pozostały nieruchome i w „manewrze zwrotu” nie brały udziału.

I znowu mijaliśmy przewężenia i szersze fragmenty korytarza. Niezbyt dobrze orientowałem się w tej plątaninie występów i zapadlisk skalnych. Ale speleolog Kałabuszew wszystko zapamiętał i na bieżąco informował nas o zbliżających się przeszkodach. Myślę, że gdyby nie on, jeszcze nieraz utknęlibyśmy. W miejscach, gdzie korytarz rozszerzał się tworząc obszerne groty, w ścianach znajdowały się wąskie szczeliny lub rozpadliny skalne, które mogły się wydawać dalszym ciągiem korytarza. Zdarzały się również ślepe zaułki. Prąd wody, który mógłby nam ułatwić orientację, jak już mówiłem, po zawaleniu się głównego wejścia znikł.

Wreszcie znaleźliśmy się w tym samym miejscu, z którego niedawno wyciągnąłem „Raję I”.

Zatrzymaliśmy się.

Titow włączył reflektor-szperacz. Cienki promień obiegł kontur poszarpanego otworu, wychwytyjąc z ciemności najeżone zęby skalne. Kilka z tych występów Titow odpiłował nożem ultradźwiękowym. Następnie ostrożnie wprowadził „tandem” do poszerzonego otworu. Pierwsza kabina weszła bez trudu. Titow włączył przednią płetwę i powoli przeciągnął moją „Raję” przez „wąskie gardło”.

Znaleźliśmy się w dosyć obszernej grocie. Była bardzo wysoka i miała długość co najmniej 150 metrów. Blisko godzinę straciliśmy na drobiazgowo badanie pieczary, by wreszcie przekonać się, że nie ma z niej wyjścia.

– Ale prąd przecież wchodził właśnie tutaj – powiedział Titow.

– Wchodził i wychodził – zauważył Kałabuszew. – Istnieją otwory, przez które woda wypływała. My się przez nie nie przeciśniemy.

– Obejrzyjmy sobie te wszystkie otwory – zaproponowałem – może któryś z nich uda się poszerzyć.

Prąd wody znacznie ułatwiłby nam odszukanie wszystkich otworków w podziemnym sitku. Kałabuszew jednak nie na darmo był z zawodu speleologiem. W końcu udało mu się znaleźć, pod samym pułapem pieczary, wąską, poziomą szczelinę. Zmierzyliśmy jej głębokość echosondami. Ciągnęła się, coraz bardziej zwężając się, na przestrzeni około trzydziestu metrów. Nie było nawet mowy o rozszerzeniu tej rozpadliny. Nie zdołałby prześliznąć się przez nią nawet pojedyn-

czy człowiek w lekkim skafandrze. Jednym słowem, byliśmy dokładnie zakorkowani z obu stron.

– Najgorsze jest to, że nas teraz nie znajdują – powiedział Titow – przecież wejście jest zawałone.

– Tak, oczywiście – spokojnie potwierdził Kałabuszew. – Zniknął główny punkt orientacyjny, skała w kształcie rozwartej paszczy.

Uwaga o paszczy węża wywołała w mym mózgu całą kaskadę obrazów.

– A ja widziałem węża – powiedziałem. – Przedtem zanim znalazłem się w tej dziurze.

– Chciałem pana uprzedzić – wtrącił nagle Kałabuszew – że cokolwiek by pan wymyślił, wątpię, czy uda się panu zakasować „naocznych świadków”, których opowiadania zapełniają jedną z moich szaf. Zbierając materiały o wężu morskim i sortując je, kwalifikowałem najbardziej niesolidne „zeznania”, najbardziej nieprawdopodobne, bezczelnie łgarskie opowieści pijanych marynarzy do specjalnego działu, któremu nadałem nazwę „Czyste brednie”.

Wtedy, mówiąc delikatnie, trafił mnie szlag. „Przez całe swoje życie marzyłeś o spotkaniu z wężem morskim – pomyślałem. – Jesteś jedynym człowiekiem, który wierzył w jego istnienie. Szukałeś go i nie znalazłeś. I... masz czelność wyśmiewać się ze mnie, jedynego człowieka, który tego węża rzeczywiście widział!” Ale co mogłem mu odpowiedzieć? Jediną rozsądną rzeczą, którą mogłem zrobić, było opowiadanie o spotkaniu z potworem morskim w bardziej sprzyjających okolicznościach. Nie byłem jednak pewien, czy

takie sprzyjające okoliczności jeszcze kiedykolwiek nastąpią.

Popatrzyłem na wąską twarz Kałabuszewa. Nad czymś w skupieniu rozmyślał. Wydaje mi się, że zrozumiałem, skąd się bierze jego odwaga. Po prostu przywykł do podobnych sytuacji. I to wszystko. Podwodniacy nie mają monopolu na niebezpieczne przygody. Speleologowie również niejedno w życiu widzieli. Podziemne grotty stanowiły dla tego człowieka miejsce normalnej pracy i nic dziwnego, że tak spokojnie analizował trudną sytuację, w jakiej się znaleźliśmy.

– Czy nie ma możliwości skomunikowania się z powierzchnią lub statkami podwodnymi, które z całą pewnością w tej chwili myszkują po kanionie? – spytał Kałabuszew.

– Ultradźwięki nie przebijają skały – powiedział Titow.

– Fale radiowe nie przenikną przez górę nafaszerowaną pokładami rud metali – oświadczyłem. – Poza tym dysponujemy tylko wiązką kierunkową, która umożliwia łączność jedynie w warunkach wzajemnej, że tak powiem „widzialności”. Namacanie okrętu na oślep jest zadaniem z góry skazanym na niepowodzenie.

– Speleologowie posługują się łącznością przewodową – powiedział Kałabuszew. – Pod ziemią ten system działa bardziej niezawodnie.

– „Raja” nie jest przeznaczona do prowadzenia badań speleologicznych – zauważyłem.

– Ale pan wszedł do labiryntu – odparował Kałabuszew. – I powinien pan przedtem wyrzucić bójkę telefoniczną i stopniowo rozwijać kabel z bębna. Przecież to jest elementarna zasada.

Nie powiedziałem mu, że w tunelu znalazłem się niechcący. Nic by to nie zmieniło, a poza tym były ważniejsze sprawy.

– A więc potrzebny jest przewód – rezonował Kałabuszew. – Łączność kablowa. Chociażby tylko do kanionu.

Zamilkł na chwilę.

– Trzeba szukać – stwierdził krótko. – No cóż, do roboty! Myślę, że lepiej będzie, gdy się rozdzielimy.

– Gdzie pan ma zamiar szukać tego kabla? – zdumiałem się.

– Oczywiście tutaj. Gdzie miał się niby podziąć?! Titow uważnie popatrzył na Kałabuszewa.

– Pan sądzi, że ktoś ten kabel tu zostawił?

– Nie „ktoś”, lecz „coś” – niecierpliwie powiedział Kałabuszew.

– Co pan ma na myśli? – spytałem. Kałabuszew nie przestawał mnie zadziwiać.

– Prąd, oczywiście – powiedział Kałabuszew. – Popatrzył na nasze zdeorientowane fizjonomie i zaczął wyjaśniać jak tępym dzieciom: – Gdzie, według panów, podziąła się kamera telewizyjna, która przekazała na powierzchnię fotografię „paszczy węża”? Paszcza połknęła ją, to znaczy prąd wciągnął ją w ten sam tunel, w którym obecnie się znajdujemy. Kamera miała jajowatą metalową obudowę, a więc prąd mógł ją toczyć,

dopóki nie napotkała na swojej drodze zbyt wysokiego progu lub zbyt wąskiej szczeliny. I jedno, i drugie znajduje się w tej pieczarze. Jak z tego wynika, należy szukać właśnie tutaj.

Okazuje się, że speleologowie mają głowę na karku. Znaleźliśmy kamerę w ciągu pół godziny. Wymacałem ją radarem. Metal odezwał się w nausznikach przenikliwym piskiem, ledwie dotknąłem go niewidzialnym promieniem.

Do kamery przymocowana była cienka linka. Najważniejszą dla nas rzeczą była odpowiedź na pytanie: w którym miejscu linka się urwała? Według teorii prawdopodobieństwa, najpewniej na dłuższym odcinku, to znaczy już poza obrębem tunelu. Trzeba było jednak tę teorię sprawdzić.

Przyssałem kamerę do pletwy. Następnie włączyłem przewody wewnętrzne, służące do przekazywania ładunków elektrycznych na obudowę statku, a do nich z kolei podłączyłem antenę „Rai”. Ręce drżały mi z niecierpliwości, ale starałem się nie spieszyć. Uważnie patrząc na wskazówki przyrządów wyregulowałem pojemność układu. Nastąpił decydujący moment.

Ledwie zdążyłem powiedzieć: „Mówi Raja I i Raja II. Odbiór” – gdy obie kabiny stateczków wypełniły się potężnym szkwałem głosów wzmocnionych przez nasze aparaty pokładowe: „Gdzie jesteście? Słyszymy was doskonale! Co się z wami dzieje? Odpowiedzcie! Opiszcie waszą sytuację. Odbiór”.

Korzystając z prawa starszego w grupie krótko zreferowałem sytuację. Postarałem się możliwie najdo-

kładniej opisać miejsce, gdzie powinno znajdować się wejście do podziemia. Udowodniłem przy tym, co wart jest stary podwodny wyjadacz. Wymieniłem tyle punktów orientacyjnych, że Kałabuszew dosłownie rozdziawił usta ze zdumienia.

– Okazuje się, że pan jest spostrzegawczy – powiedział, spojrzawszy na mnie jakby z odcieniem szacunku. Najwidoczniej do tej pory uważał, że moje kwalifikacje ograniczają się do umiejętności kierowania „Raja”. Niewykluczone jest również, że moje „dowcipy” na temat węża morskiego poderwały w jego oczach aurytety podwodniaków.

Żeby go całkowicie pogrążyć, po szczegółowym opisanu naszej sytuacji, uznałem za stosowne uprzedzić załogi statków ratowniczych o istnieniu węża morskiego. Zameldowałem krótko i rzeczowo, jak on wygląda, podałem orientacyjne rozmiary, patrząc przy tym kątem oka na Kałabuszewa. Twarz jego wyrażała krańcowe zdumienie. Titow natomiast spoglądał na mnie jak na wariata. Dostatecznie długo pływał w głębinach mórz i oceanów, by w istnienie węża morskiego wierzyć nie w większym stopniu niż w smoka z dziecięcych bajeczek. Rozumiałem go doskonale, ale tym większe zadowolenie sprawiało mi zdumienie Kałabuszewa.

Na pokładzie „Poszukiwacza” po moim raporcie przez chwilę panowała cisza.

– W porządku, kapitanie – powiedział w końcu Agapow. – Trzymajcie się. Zaraz was wyzwolimy.

Przekazał jeszcze kilka rzeczowych wskazówek, ale o wężu nie wspominał ani słowem.

„Tak – powiedziałem sobie w duchu – na górze też ci nie wierzą.”

Na moment wcieliłem się w skórę Kałabuszewa, który jako jedyny człowiek w ciągu dwudziestu lat wierzył w istnienie węża morskiego, a pozostali ludzie słuchając go wzruszali tylko ramionami. Oto co znaczy być upartym. Upór Kałabuszewa wydał mi się nagle godny szacunku.

„No dobrze – pomyślałem. – Tym większy będzie efekt, gdy pokażę zdjęcia zanotowane na taśmie magnetycznej. Mam w ręku dowody rzeczowe”.

Pomyślałem tak i przeraziłem się, że może aparatura zapisująca nie zadziałała w odpowiednim momencie i że wyjdę w oczach Kałabuszewa, Titowa i wszystkich innych ludzi na największego łgarza wszystkich czasów. Spalany niecierpliwością, natychmiast włączyłem maleńki ekran kontrolny, przeznaczony do sprawdzania jakości zapisu magnetycznego, i przyłożywszy dłonie do twarzy, by nie przeszkadzało mi zewnętrzne światło, przewinałem szpulę z taśmą. Na ekranie ukazał się kanion w miniaturze, a za parę sekund do wąwozu wpłynęło od góry ogromne, wijące się węzowymi ruchami cielsko. Jeszcze kilka kadrów i ogromny wąż morski ze zgrubieniem pośrodku tułowia, w całej okazałości ukazał się na tle ścian kanionu. Obraz był tak realny, że odruchowo odsunąłem się od ekranu.

– Doskonale! – wykrzyknąłem głośno, wyłączwszy napęd szpuli. Poweselałem. Patrząc na mnie poweselał i Titow.

– Nieźle ich zrobiliś! – mrugnął do mnie. – Doskonały dowcip. Ja bym nie miał odwagi...

Znowu wiedział, czego się trzymać. To był doskonały kolega.

Usłyszeliśmy odgłosy pracującego świdra, a następnie czegoś podobnego do serii słabych wybuchów. Woda doskonale przewodziła dźwięk. Wesoły głos w głośniku powiedział:

– Wyłaźcie z nory!

Sprzęgnąwszy się w tandem, skierowaliśmy się do wyjścia.

Nie wytrzymałem i spytałem Kałabuszewa, co myśli o widzianym przeze mnie wężu. Odpowiedział wymijająco, że przy długim przebywaniu pod ziemią, ludzie, którzy po raz pierwszy znajdują się w pieczarach, podlegają złudzeniom. Nie są to halucynacje, a jak gdyby obrazy tworzące się w mózgu, tak realne, że czasami trudno je odróżnić od rzeczywistości. Odpowiedziałem mu na to, że węża widziałem jeszcze przed wejściem do tunelu. Kałabuszew w podobnie ostrożny sposób oświadczył, że nawet jemu, podczas długiego przebywania pod ziemią, zdarza się pomylić chronologię wydarzeń.

„Dobrze, dobrze – pomyślałem. – Poczekam jeszcze trochę”.

Zachowując wszelkie środki ostrożności płynęliśmy w kierunku wyjścia, aż wreszcie zobaczyliśmy szeroki, poszarpany otwór.

Muszę się przyznać, że odetchnąłem swobodniej, gdy znalazłem się na otwartych głębinach Oceanu. Nie, pieczary stanowczo mi nie służą. Mając nad głową tysiące ton skały, rzeczywiście można ulec halucynacji.

Z uczuciem głębokiej ulgi rozluźniłem mięśnie całego ciała, jak gdyby naprawdę zdjęto ze mnie ciężar góry. Rozczepiliśmy się i przygotowaliśmy do wynurzenia. Stojący o jakieś pięćdziesiąt metrów od nas głębokowodny „Krab”, który wyswobodził nas z pułapki, oświetlał nam drogę swoimi reflektorami. Ja również na zasadzie, że tak powiem, świątecznej iluminacji, włączyłem pełne oświetlenie. Z zadowoleniem patrzyłem na otaczające mnie, tylko z boków, skały kanionu.

Obejrawszy się do tyłu zobaczyłem nagle... węża morskiego! Uszczypnąłem się w rękę. Potem zamknąłem oczy i znowu je otworzyłem. ...Ogromny, długi wąż wyginając się leniwie płynął prosto na mnie. Może zwabiło go światło? Jego srebrzyście opalizujące boki odcinały się ostro od ciemnego tła skał.

– Wąż! – krzyknąłem. – Wąż!

Usłyszano mnie i na „Rai I” i na „Krabie”. Wszystkie reflektory skierowano tam, dokąd pokazywałem wyciągniętą ręką. Światła było tyle, że wąż od razu utonął w migocącej mgłę. Ale za chwilę obrócił się i zobaczyłem go jeszcze dokładniej. – Niech pan da

spokój, kapitanie! – powiedział z niezadowoleniem Agapow. – To już przestaje być dowcipne...

Titow pokiwał głową. Kałabuszew popatrzył na mnie jak lekarz na pacjenta. „Z takimi nerwami nie ma czego szukać pod ziemią” – mówił jego wzrok.

Działo się coś niesamowitego! Nikt, oprócz mnie, nie widział węża. Ja zaś widziałem go doskonale. Ze wszelkimi szczegółami. Teraz właśnie jakoś dziwnie poruszył ogonem. Włączyłem kamerę. Mam nadzieję, że nowoczesna aparatura zdjęciowa nie podlega halucynacjom!

W czasie gdy byłem zajęty fotografowaniem, „Raja I” podpłynęła do mnie i wzięła na hol.

Dopiero potem otrzymałem rozkaz – właśnie rozkaz! – przekazania dowództwa Titowowi i zablokowania swoich urządzeń sterowniczych. Gdy to wykonałem, dyscyplina stanowi bowiem drugą naturę podwodniaków, „Raja I” pociągnęła mnie na powierzchnię.

Na pokładzie „Poszukiwacza” zaproponowano mi przebranie się, napojono ciepłym mlekiem i ułożono do łóżka. Po upływie dziesięciu minut odwiedził mnie Agapow i uważnie wysłuchał mojego opowiadania o wężu. Powiedział, że obejrzy sobie zapis magnetyczny.

– Niech pan odpocznie – powiedział. – Za godzinę odbędzie się małe zebranko poświęcone pierwszym wnioskom z wyprawy. Czy będzie pan w stanie w nim uczestniczyć?

– Oczywiście – odpowiedziałem. – Nie doznałem żadnego uszczerbku na zdrowiu. Godzina odpoczynku to tylko zadośćuczynienie formalnościom. Jestem w stanie natychmiast zanurzyć się na każdą głębokość.

– Dobrze, dobrze...

Leżałem i starałem się nie myśleć o niedawnych wydarzeniach. Instrukcja zaleca pełny relaks całego organizmu po powrocie z wyprawy. Myślałem więc o różnych głupstwach i sam nie wiem, kiedy zasnąłem.

Gdy po godzinie wszedłem do mesy, zebrali się już wszyscy. Chyba z piętnaście osób tłoczyło się dokoła stołu i wpatrywało w coś leżącego na zwyczajnym talerzu. Agapow trzymał w ręku lupe.

– No, tak – powiedział, zobaczywszy mnie.

– Co to jest? – zainteresowałem się.

– Pański wąż – powiedział Agapow. Przepuszczono mnie do stołu.

Na talerzu leżała jakaś nitka. Coś podobnego do włosa. Włos wygięty był w kształcie znaku zapytania.

– Nie poznaje pan? – Agapow podał mi lupe. Zbliżyłem ją do włosa i poznałem... węża morskiego! Srebrzyste boki i zgrubienie pośrodku tułowia. Statek kołysał się na długiej oceanicznej fali i koniec nitki miarowo poruszał się w wodzie wypełniającej talerz. Wydało mi się, że „wąż” ożył.

– Wodorost. Przykleił się do powłoki zewnętrznej pańskiej „Rai” – powiedział Agapow.

Ktoś wymienił łacińską nazwę roślinki.

– Wolny koniec kołysał się w strumieniu wody – zwrócił się do mnie Titow. – Majaczył ci przed oczami. No i oczywiście przed obiektywem kamery. Sylwetka bydłęcia nakładała się na tło odległej góry. Nastąpiło zniekształcenie proporcji.

– Typowy przypadek – wyjaśnił Kałabuszew. – W mojej kolekcji mam co najmniej dwieście zaprzysiężonych oświadczeń ludzi, którzy padli ofiarą podobnego złudzenia optycznego.

Byłem zupełnie oszołomiony. Typowy przypadek! Zwykłe złudzenie optyczne!

– No cóż, kapitanie – powiedział Agapow, zagajając czy też kontynuując naradę. – Pan swoje zrobił. Zadanie polegające na odnalezieniu „Rai I” zostało wykonane.

– Rzeczywiście – powiedziałem. – Musimy jednak pamiętać, że „Raję I” znalazłem zupełnie przypadkowo, a właściwie wbrew mojej woli, że najprawdopodobniej na skutek mojej nieostrożności zawaliło się wejście do podwodnego tunelu i że gdyby nie wyjątkowo zimna krew Kałabuszewa...

– Wystarczy! – zdecydowanie przerwał mi Agapow. – Przed chwilą wysłuchaliśmy, jak pański kolega Titow kajał się, całą winę za wprowadzenie „Rai I” do podziemnej pułapki przypisując sobie. Rozumie się samo przez się, że będziecie, panowie, musieli całą tę sprawę dokładnie przeanalizować, co, mam nadzieję, pozwoli nam na uniknięcie podobnych błędów przy następnych zanurzeniach. Nie należy też zapominać – dorzucił – że my tutaj nie pozostawilibyśmy was na

pastwę losu. Obłazilibyśmy wszystkie nory, „przesłuchalibyśmy” całą górę i, jeżeliby to okazało się konieczne, zdążylibyśmy ją rozpiłować na kawałki w czasie tych dwóch tygodni, na które obliczone są awaryjne zapasy tlenu i żywności znajdujące się na pokładach waszych „Raj”. To, że pan, kapitanie, zniknął wewnątrz podwodnej góry, stwierdziliśmy na podstawie charakteru i okoliczności, w jakich zanikła łączność.

– Niezła historia – pokręcił głową Titow. – No, a pan – zwrócił się do Kałabuszewa. – Pan w dalszym ciągu wierzy w istnienie węży morskich?

– Dlaczegoż bym miał nie wierzyć? – zdziwił się szczupły speleolog. – Czy dlatego, że swoją kolekcję uzupełniłem jeszcze jednym nieprawdziwym raportem? Przecież w dalszym ciągu nie ma naukowego dowodu, że węże morskie nie istnieją.

– Pan jest rzeczywiście uparty!

– Co pan zamierza robić w najbliższym czasie, kapitanie? – zwrócił się do mnie Agapow. – Bo my tu planujemy pewną...

– Wie pan... – powiedziałem. – Już dawno powinienem iść na urlop. Jakoś do tej pory się nie składało, ale teraz...

– Doskonale! – ucieszył się Agapow. – Wspaniała myśl! Dokąd by pan chciał pojechać?

– Mówił pan, że warto obejrzeć Księżyc. Zdaje się, że wyjątkowo interesująca jest odwrotna strona? – spytałem.

– Tak, ale mają tam słabą łączność z Ziemią. Przerwy w łączności trwają czasami po parę tygodni...

– Doskonale – powiedziałem. – Wcale mi to nie przeszkadza. Zaraz spakuję swój podręczny neseserek i jeżeli będzie pan uprzejmy podrzucić mnie do najbliższego kosmodromu...

Zupełnie nie miałem ochoty słyszeć, jak cała planeta będzie się ze mnie śmiać.

Oczywiście nikt tego nie będzie robił w sposób złośliwy, w intencji zrobienia przykrości staremu podwodniakowi, któremu przywidział się, na skutek banalnego złudzenia optycznego, żywy wąż morski. Ale ludzie mają poczucie humoru. Lepiej dla mnie będzie, gdy przeczekam pierwszy paroksyzm śmiechu na odwrotnej stronie Księżyca, a po upływie tygodnia ludzkość będzie miała już inne sensacje.

* * *

Już znajdując się na Księżycu dowiedziałem się, że Kałabuszew znalazł swojego węża. Dwa dni po moim odlocie, razem z Titowem, dokonał nowego zanurzenia na dno kanionu i w sąsiedniej podwodnej pieczarze odkrył całe stado gigantycznych jaszczurowatych istot. Titow uzyskał zezwolenie, pod warunkiem zachowania najdalej idącej ostrożności, na wejście do grotty. Na prośbę Kałabuszewa zgodzono się nawet, by odłowili dwójkę tych stworzeń. Wężę, schwytane w specjalne sieci, wyholowano na powierzchnię morza. Pozostałych potworów postanowiono nie niepokoić,

ograniczono się jedynie do zagrodzenia stalowymi kratami wszystkich wejść do pieczary i umieszczenia wewnątrz grotty mnóstwa kamer telewizyjnych, by móc obserwować węże w ich naturalnym środowisku. Węże nie były tak wielkie, jak ten, który przywidział się mnie, miały jednak te swoje trzydzieści metrów długości – wielkość zupełnie wystarczająca, by mogła przerazić załogę jakiegoś wątego żagłowca. Poruszały się wyginając swoje cielska na podobieństwo płynącej pijawki. Na grzbiecie miały zębate narośla, a w pobliżu głowy można było rozróżnić wyrostki podobne do szczytkowych płetw. Najdziwniejsze, że węże miały rzeczywiście troje oczu.

Dowiedziałem się o tym wszystkim z „Gazety Księżycowej” dostarczonej na odwrotną stronę naszego satelity pocztą raketową. Gazeta poświęciła na opis tego wydarzenia dwie kolumny grubego numeru, opatrzywszy reportaż ogromnymi fotografiami. Dzięki temu wydarzeniu ludzkość zapomniała o przygodach pewnego kapitana-podwodniaka. Mogłem spokojnie powrócić na Ziemię i zająć się swoją pracą.

No i co, państwo, o tym wszystkim powiecie?!

SAD NAD TANTALUSEM

